

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 18 LUTEGO 1928 ROKU

NR 8

TREŚĆ NUMERU: W gorączce rekordu — *Stefania Podhorska-Okołów*. Zdrowa rasa ludzka a kwestja kobieca — *Dr. Herminja Naglerowa*. Wiersze: „Szkielka wróżebne”: „Judyta”, „Nina”, „Alina”, „Olga” — *Kazimiera Illakowiczówna*. Kraków i Warszawa w 1813 roku — *Anna z Krajewskich Nakwaska*. Przygody błękitnych możliwości (c. d.) — *M. H. Szpyrkówna*. Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłaszewska*. Impresje kościelne — *Zygmunt Knothé*. Z życia ekranu — *Stef. H.* Z teatrów — *S. P. O.* Z życia muzycznego — *P. L.* Zapusty — *Janina Tuwanówna*. Ekonomia domowa na kongresie międzynarodowym — *M. Karczewska*. Tarczyki — *Stan. Schönfeld*. Historia pączka karnawałowego — *Szyc-Korska*. Podział wieprza — *Pani Elżbieta*. Centralne ogrzewanie wodne poszczególnych mieszkań. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek: „Mody i Roboty”: Kapelusze — *Well*. Odpowiedzi Redakcji. Dodatek powieściowy: „Tydzień w raju” — *Marino Moretti* — autoryzowany przekład z włoskiego *Franciszka Baturewicza*. Tablica krojów.

## W GORĄCZCE REKORDU

Nasze życie indywidualne i zbiorowe ciągle jeszcze jest mgławicą, bardzo wolno krzepnącą w kształt zdecydowany. Kołyszymy się inercyjnie w sferze równowagi niestałej. Nad wzajemnym ustosunkowaniem się warstw społecznych zawisła klątwa przesądów i nieporozumień. Pomimo pozornej demokratyzacji, istnieją jeszcze ciągle „sfery uprzywilejowane”, jeżeli nie przez prawo i ustrój społeczny, to przez wszechwładny „vox populi”, — kaprys, upodobanie, łaskę tłumów. To najpotężniejsze dziś mocarstwo, z którym liczy się polityka międzynarodowa, racja stanu, sztuka, literatura, prasa, to umiejętnie mu schlebiając, to zręcznie naginając jego chwiejny pion do swoich ukrytych założeń i celów, — ta „wola ludu” ma swoich fetyszów i swoich parjasów. Jedni są noszeni na rękach w triumfalnym pochodzie, inni — zgóry skazani na to, aby być „mięsem dla armat”, nawozem, użyźniającym glebę pod wzrost i rozkwit „tamtych”, uprzywilejowanych królewiatek losu.

I oto w społeczeństwie postępowem, cywilizowanym, uświadomionem, krzewi się bujnie krzywdą zbiorowa, oparta nie tylko na fundamencie niewspółmierności materialnego wynagrodzenia do wysiłków twórczych, ale na lotnym piasku amoralnego kaprysu, który, jak skrzydła wiatraka, jednych wynosi pod niebo, innych pogrąża w szary pył bezpowrotnej niepamięci.

Od stu lat możemy zaobserwować te kolejne intronizacje i detronizacje fetyszów. W epoce romantyzmu królowała „człowiek rozczarowany”. Roilo się wówczas w literaturze i w salonach od ponurych

Manfredów, Gustawów, Kordjanów, Onieginów. Kochały się w nich kobiety, tłum korzył się w bezgranicznym uwielbieniu przed skarbcem tajemnicy, najczęściej ukrywającym... pustkę.

A potem... potem typ się przeżył. „Czarny szal i sztylet z za pasa” poszły do lamusa zużytych rekwizytów. Nastąpił okres pozytywizmu i pracy organicznej. Bożyszczem tłumów stał się inżynier, przemysłowiec, człowiek rzetelnej, namacalnej, budującej pracy. Wczoraj jeszcze bezimienny chłopak z ludu, dziś — śmiały pionier. Zapomniano o bładach młodzieńcach, kryjących serce rozdarte pod chmurą drapowanego płaszcza. Palono kadzidła „Właścicielom kuźnic”, Wokulskim, Połanieckim, Dołęgom. Wprowadzano ich uroczysto do t. zw. „towarzystwa”, gdzie ich ogorzale twarze, szerokie bary, muskularne ramiona i nieco zaniedbane ręce — robiły furorę na kobietach, znużonych mdłą asystą anemicznych fatygantów.

A potem, wraz z przedwiośnią ruchu socjalistycznego, przyszła kolej na „robociarza” i społecznika. W nim widziano „sól ziemi”, jedyną rację bytu społeczeństwa, jego alfę i omegę. Niejeden fizyczny i ideowy niedorajda, któremu ani z uniwersytetem, ani z ożenkiem, ani z posadą jakoś nie szło — ratował swoje pomyłone człowieczeństwo bodaj „apaszowskim” szalikiem, z konspiracyjną determinacją zadziergniętym na cierpiętniczej szyi. I to „pozowało” w pewnych sferach i do czasu „brało kobiety”, przy najmniej naiwne entuzjastki.

Jednocześnie, jakby na mocy harmonii kontrastów, w poszarzałym społeczeństwie miejskiem obu-

dziła się tęsknota do pawich piór i kraśnych kiecek. Rydel, Reymont, Wyspiański zaszczepili mu chłopomaństwo. „Chłop potęgą jest i basta!” Ten typowo inteligencki, jednostronny kult nie przeżył jednego pokolenia. Niemiłosiernie dociskany „pasek” zbożowo-maślany na wygłodzonych jelitach pana z miasta i pęczniące gwałtownie kieszenie Maćka wyleczyły radykalnie społeczeństwo z „chłopskiej” gorączki.

I oto na zamglonym jeszcze od prochu i gazów trujących firmamencie powojennym rozblęsnęła nowa gwiazda tłumów: bożyszcze rekordu! Kto wyżej skoczy o tycze, czy bez tyczki, kto wydmucha resztkę płuc w pieszym wyścigu, kto dalej ciśnię oszczepem, lub wygra większą liczbę game'ów—temu otworem staną wszystkie Sezamy świata. Imię jego roztrąbione będzie przez megafony, głośniki, kable podmorskie, Ajencje Wschodnie i Zachodnie po wszystkich zakątkach globu; podobizny ich utrwalone na kliszach, filmach, na papierze, płótnie, emalji, kości słoniowej, w glinie, gipsie, bronzie, marmurze—wryją się w pamięć wzrokową rzesz, zasugestjonowanych magicznym brzmieniem słynnego nazwiska.

Niczem są pracowite żywoty, wyssane przez szkielek mikroskopu, czerniejące milionami mrówczych literek na wielkiej płachcie dziennika, posiekane na drobny śrut bliźniaczych godzin szkolnych, znaczone ognistymi słupami natchnienia na drodze ku szczęśliwości powszechnej. Niczem ten cały wiekowy dorobek talentów, wiedzy, pracy—wobec jednego szczęśliwego chwytu, jednego wysiłku sprawnych mięśni, jednego zwycięstwa doskonale wyćwiczonego ludzkiego zwierzęcia!

Jesteśmy świadkami supremacji brutalnej siły fizycznej nad wartościami duchowymi, które nie narzucają się zmysłom jaskrawym efektem i które chyttrze trzeba przemycać, jak zakazaną kontrabandę, pod płaszczykiem pozorowanej sensacji, aby mogły wytrzymać na rynku życiowym konkurencję modnych „towarów” z branży codzien pobijanego rekordu.

Te wszystkie pesymistyczne myśli—nie o sporcie, który jest jednym z nielicznych światła w piwnicznym mroku życia wielkomiejskiego, ale o jego wynaturzeniu w szal rekordu—powstały we mnie drogą przedziwnych skojarzeń, po przeczytaniu jednego z tych listów, co przychodzą do nas, jak garsteczka piany na fali, wezbranej gorąco. Są to listy tych, które całe swe życie i wszystko, co mają najlepszego w swej duszy, oddały społeczeństwu, otrzymując wzamian kamienną obojętność, w której ich odosobnione głosy toną bez echa. Myślę o nauczycielkach ludowych, o tych szeregowcach oświaty, co prowadzą nierówną walkę z największym, najniebezpieczniejszym wrogiem naszego młodego państwa: z ciemnotą,—o tych rekordzistkach bezimiennych cichej pracy, pomysłowości, oszczędności, którym nie dosyć jest codziennego ciężkiego obowiązku: co to umieją ze swej skromnej pensyjki uciułać trochę grosza na kupno wikliny

dla kursów koszykarskich, stworzyć z paru gałganków i rolek bibułki kostjumy na przedstawienie amatorskie, a potem gnać pieszo kilkanaście kilometrów od stacji, żeby się na próbę nie spóźnić, albo 25 klm. na rowerze, żeby się zobaczyć z panem inspektorem... Gdzie jest uznanie dla tych, nikomu nieznanym, wysiłków?!

Któż ciebie uwieńczy „laurem olimpijskim”, zapoznana szybkobiegaczko? Któż za tobą z aparatem fotograficznym i taśmą filmową pocwałuje przez piaski mazurskie i błota poleskie? Kto będzie imię twoje rozgłaszać przez radja i megafony? Nikt,—chyba echa leśne. Bo przecież, szara pracownico, nie skakałaś o tycze, ale na powykręcanych bucikach szorowałaś przez miedze i przydróżki do mety, na której nie czekała cię inna nagroda, prócz zadowolenia wewnętrznego, rozedmy płuc, nerwicy serca, a w najlepszym razie—przysłowiowej nauczycielskiej chrypki.

Prawda! kiedyś, po długich latach, steranych w codziennej szkolnej dłubaninie, będziesz miała emeryturę. Społeczeństwo zamknie rachunki z tobą, pewne, że oddało ci wszystko, do czego masz prawo. Ale przecież, nawet w najbardziej zgrzybiałej starości, dla świadomej swych zasług istoty są rzeczy ważniejsze ponad „łyżkę strawy” i „ciepły ką” dożywotni. Jest to jakaś nieuchwytna atmosfera życzliwości, która starganym nerwom wije przytulne gniazdko, a wokół siwej głowy gromadzi ciche promienie sympatii i uznania. Ale tych promieni jakoś u nas nigdzie nie widać! Jeżeli nawet są, to wsiakają bezpowrotnie w nurt współczesnego życia. Śpieszymy się przecież tak bardzo! Mamy tyle rekordów do pobicia! Brak nam czasu, żeby troszczyć się o tych, którzy zostali u startu, bez nadziei na zwycięstwo, bez pretensji do lauru. Błyskawica pędu przekreśliła wszystko, co nie jest wyścigiem.

A dawniej, przed wojną, było przecież inaczej. „Tajne nauczanie” otaczało nimbem romantyzmu i bohaterstwa głowy bezimiennych „siłaczek.” Garnęły się do niego i panienki „z białych dworków,” uczące w jaśminowych altanach trzódkę umorusanych wiejskich dzieciaków, i znudzone snobki wielkomiejskie, szukające nowych dreszczów w atmosferze konspiracji. A dziś? Dziś opadły kwietne puchy złudzeń z owocu rzeczywistości. Ukazało się ziarno prawdy kolczaste, twarde, pełne trudno rozpuszczalnej goryczy. Tem się tłumaczy niechęć młodzieży dzisiejszej do zajęcia ofiarnej placówki nauczyciela w szkole powszechnej. „<sup>9</sup>/<sub>10</sub> maturzystów szkoły średniej, zgłaszających się do zawodu nauczycielskiego, to wykolejeńcy, którym środki materialne, brak zdolności, brak wyraźnych zamiłowań zamykają wrota do uniwersytetu, którzy zatem biorą posadę nauczyciela szkoły powszechnej faute de mieux, gotowi ją rzucić z chwilą, kiedy zaistnieją lepsze warunki kariery.” Tyle—o chłopcach; a dziewczęta, zgłaszające się do seminarjów nauczycielskich?

„Kierują nimi, czy ich rodzicami, względy czy-  
sto utylitarne, chęć prędszego zdobycia kawałka chle-  
ba. Przez cały pierwszy rok pobytu w szkole dziew-  
częta te, prawie bez wyjątku, uważają się za zepchnię-  
te na niższy szczebel drabiny społecznej“.

Tak pisze w 50 nr. „Bluszczu“ z roku zeszłego—  
doświadczona dyrektorka seminarjum żeńskiego,  
p. J. Młodowska. A zatem—samo nastawienie mło-  
dzieży do obranego przez nią zawodu wymaga grun-  
townej reformy już u źródeł. Nie wątpimy, że umie-  
jętne i ideowe kierownictwo może w ciągu paru lat  
pracy nadać tym zdezorjentowanym indywidualno-  
ściom pion właściwy, ale z chwilą, gdy te młode szcze-  
py z zacisza szkolnego raptem przesadzone zostaną  
na samotny wydmuch walki o byt, trudno się dziwić,  
że gną się i łamią w nierównych zapasach z tym  
przysłowiowym wiatrem, który biednemu zawsze dmie  
w oczy. I tu, właściwie, zaczyna się rola społeczeństwa,

dotychczas nieobsadzona, albo obsadzona niedosta-  
tecznie, jednostronnie i wadliwie. Dla przeciętnej  
nauczycielki ludowej to społeczeństwo streszcza się  
perspektywicznie w dwóch obrazach: z jednej strony  
gromada wiejskich dzieci i ich rodziców, z drugiej—  
pan inspektor. Reszta rozplywa się w szarej obojęt-  
nej masie. Samotny człowiek i ta masa—stoją na-  
przeciw sobie raczej nieufnie, niż wrogo. Przedewszyst-  
kiem—nie mają sobie nic do powiedzenia. I wtem  
właśnie tkwi rdzeń złego, które trzeba wyrwać z ko-  
rzeniem. Trzeba rzucić złoty most porozumienia mię-  
dzy temi dwoma światami, które powinny być jednym  
ciałem. W przeciwnym razie—obok sprawy bezrobot-  
nych, sprawy bezdomnych, sprawy kobiecej, kryzysu  
rodziny, i tylu innych spraw, kryzysów i bolączek spo-  
łecznych—stworzymy sobie jeszcze jedną sprawę:  
problem nauczycielstwa szkół powszechnych.

Stefanja Podhorska-Okołów.

DR. HERMINJA NAGLEROWA

## ZDROWA RASA LUDZKA A KWESTJA KOBIECA

Na marginesie książki Dr. Zofji Golińskiej-Daszyńskiej: „Zagadnienia polityki populacyjnej“

Kiedy piszemy o zdobytych i niezdobytach je-  
szcze przez nas prawach, a zwłaszcza, gdy piszemy  
o żarliwości pracy, jaka opanowała dzisiejsze kobiety  
(mam tu przedewszystkiem na myśli t. zw. klasę śre-  
dnia), kiedy walczymy o jednaką miarę w traktowa-  
niu tej pracy—nie wolno nam pominąć ważnego  
zagadnienia, które tak często służy jako podstawowy  
argument właśnie przeciw równouprawnieniu kobiet.  
Zagadnienie to nazywa się: macierzyństwo.

Odrzuć trzeba tu powiedzieć, że nie wolno za-  
gadnień społecznych rozpatrywać li tylko ze stano-  
wiska biologicznego. Nauka dzisiejsza, unikając je-  
dnostronności, tłumaczy ewolucję ludzkości raczej su-  
mowaniem różnorodnych zjawisk. Widzimy zresztą, że  
wielki ruch społeczny, jakim jest emancypacja kobiet,  
nie dał się powstrzymać nakazem natury, i kobieta,  
której najwyższem i wyłącznem—jak sądzono—  
zadaniem jest macierzyństwo, okazała wolę i zdolność  
do pracy niemal w każdej gałęzi, doniedawna zmono-  
polizowanej przez mężczyzn.

Ruch emancypacyjny, zainicjowany przez jednost-  
ki, dlatego tylko mógł ogarnąć w krótkim stosunko-  
wo czasie cały ogół kobiety, ponieważ wcześniej już,  
zanim sformułowano i skonkretyzowano postulaty „fe-  
ministyczne“, kobieta przestała być tylko matką. Choć-  
byśmy sięgnęli jaknajdalej wstecz w dzieje ludzkości,  
zawsze zobaczymy kobietę-pracownicę. Była więc nie-

wolnicą i służebnicą; zarządzała gospodarstwem rol-  
nem u starożytnych Germanów; niejednokrotnie wy-  
bijała się na czołowe stanowiska w historii wszyst-  
kich państw i narodów, a napewno znajdziemy ją za-  
wsze w bezimiennym tłumie pracowników. Jakoś je-  
dnak umiała pogodzić swoją pracę z obowiązkiem  
macierzyństwa.

Mimo to kwestja macierzyństwa i rozrodczości  
stała się dziś właśnie ogromnie aktualna. Niewątpli-  
wie bowiem praca kobiet w zawodach intelektualnych  
wpływa na ograniczenie rozrodczości. Bezdzielnosc  
albo małodzielnosc rodzin, w których żona pracuje  
zarobkowo, jest dziś w sferze inteligencji pracującej  
zjawiskiem powszechnem. Zapewne należy tu uwzględ-  
nić również ciężkie warunki ekonomiczne, zwłaszcza  
powojenną klęskę mieszkaniową, ale istotnej przyczy-  
ny obniżenia urodzin doszukiwać się trzeba w zawo-  
dowej pracy kobiet. Jest to fakt, któremu w imię  
prawdy zaprzeczyć niepodobna.

Nie powinno się jednak wysnuwać stąd wniosku,  
że kobieta, pracująca intelektualnie, zatracą cechy  
naturalne swojej płci, że zatracą ów „instykt“ ma-  
cierzyński. Jeżeli się bowiem zważy, że kobiety do-  
piero od niedawna otrzymały „prawo pracy“, nie bę-  
dzie można ryzykować twierdzenia o zatraceniu natu-  
ralnego instyktu. Ze względu na krótkość czasu  
(zaledwie pół wieku trwa ruch emancypacyjny, a za-

ledwie kilka lat mamy w Polsce równouprawnienie) byłaby to nazbyt gwałtowna rewolucja, nienotowana dotąd w rozwoju biologicznym człowieka.

Unikanie macierzyństwa ma więc zapewne inne przyczyny, natury raczej ekonomicznej. Wbrew bowiem sędziwemu frazesowi o kobiecie-matce, jako o jedynym doskonałym i dostojnym typie kobiety, macierzyństwo uważa się za jedną z głównych przeszkód w praktycznym stosowaniu zasady równouprawnienia. Macierzyństwo staje się, bowiem, na czas pewien przeszkodą w wykonywaniu zawodu, a ciąża powoduje niejednokrotnie utratę posady.

Istnieje wprawdzie Konwencja Waszyngtońska, przyjęta przez nasze ustawodawstwo, konwencja, dająca kobiecie pracującej prawo korzystania z 12-to, względnie 8-o tygodniowego płatnego urlopu położowego, ale trudno sobie wyobrazić, aby przy dzisiejszej konkurencji pracy, jakiegokolwiek przedsiębiorstwo prywatne, a nawet państwo dawało takie urlopy chętnie, a tembardziej co parę lat.

Z tych przyczyn zresztą wynikły pewne ograniczenia w przyjmowaniu urzędniczek zamężnych.

Tak więc sam nagi fakt wydaje się dostatecznie zrozumiały, lecz jednocześnie nasuwa się problem zmniejszenia rozrodczości, jako groźny rezultat równouprawnienia i zawodowej pracy kobiet. Oczywiście kwestję tę może tylko rozstrzygnąć rozsądne prawodawstwo socjalne, w którym współpraca kobiet jest nieodzowna.

Niedawno wyszła bardzo ciekawa i sumienna praca dr. Zofji Golińskiej-Daszyńskiej p. t. „Zagadnienia Polityki Populacyjnej” (Nakładem księgarni Ferdynanda Hoesicka. Warszawa, 1927), gdzie wśród zagadnień, dotyczących teorii polityki populacyjnej, populacyjno-społecznej i polityki rasy, autorka poświęciła specjalny rozdział kwestji kobiecej w związku z powyższymi problemami.

Znakomita autorka stwierdziła słusznie, że kobieta i wszystko, co dotyczy jej bytu, jest jednym z najważniejszych czynników w problemach populacyjnych. Poza zadaniem bowiem, jakie natura wyznaczyła kobiecie, ruch wyzwolenczy kobiet spowodował dziś przeobrażenie rodziny, zmianę układu ekonomicznego i politycznego społeczeństwa, co, oczywiście, musiało wpłynąć na pewne i to dość znaczne zmiany w liczbowym przyroście ludności.

Przytoczone przez dr. Golińską-Daszyńską dane statystyczne, dotyczące fizycznej zarobkowej pracy kobiet (ilość pracujących kobiet, zawody i płace, obliczone procentowo), prowadzą autorkę do wniosku, że, wobec obowiązku i zadań macierzyństwa należałoby raczej myśleć, w jaki sposób zapobiec nadmiernemu pociąganiu kobiet do pracy zawodowej, ale nie o powiększaniu liczby zarobniczek.

Przedewszystkiem byłaby tu jednak wskazana szeroko i racjonalnie pojęta opieka nad macierzyństwem, gdyż w sferach robotniczych (zarówno w

mieście, jak i na wsi), wskutek nadmiernego obciążenia kobiet pracą domową, wychowywaniem dzieci i źle płatną pracą zarobkową—wyzysk człowieka-kobiety dochodzi do potwornych rozmiarów. A właśnie ta sfera zasila społeczeństwo najobfitszym przyrostem ludności.

Autorka wygłasza ponadto bardzo ciekawe poglądy na temat rozrodczości w warstwie średniej. Nie zaprzecza autorka, że niższa rozrodczość w klasie inteligencji pracującej jest groźna dla ludności, jednakże w tym stanie rzeczy upatruje pewne cechy dodatnie, uważając, że mniejszą ilość dzieci można lepiej wychować fizycznie i etycznie.

Jakkolwiek jest, wobec żywiołowego wejścia kobiety do każdej dziedziny życia zbiorowego i wobec niewątpliwiej dziś konieczności udziału kobiety w tem życiu, niema już mowy o ograniczaniu jej praw. Niemarnowanie materiału ludzkiego stało się dziś hasłem naukowo uzasadnionem, i właśnie kobieta dzisiejsza, intelektualnie zrównana z mężczyzną, jest najbardziej powołana do regulowania zagadnień populacyjnych ze stanowiska przedewszystkiem rasy. Bo, zdaniem autorki, dziś kwestja rozrodczości nie powinna być traktowana li tylko ze stanowiska niewątpliwie istniejącego instynktu, czy choćby uczucia: niemniej ważna, a może nawet kierownicza rola przypadła dziś nauce i rozumowi.

Nauka i rozum stawiają swoje racjonalne cele zagadnieniu rasy. Nie ilościowo więc, lecz jakościowo silna powinna być ludzkość. Zwalczanie alkoholizmu i nierządu, zaszczepianie zasad higieny, dbałość o moralne wartości — są najważniejszymi wskazaniem w zagadnieniu rasy. Autorka twierdzi, że właśnie „równouprawnienie kobiet niewątpliwie powoduje racjonalny typ rozrodczości”.

Doskonałą pracę dr. Golińskiej-Daszyńskiej powinna przeczytać każda inteligentna kobieta, gdyż w istocie zagadnienie rozrodczości, wielorako pojmowane, zarówno ze stanowiska państwowego, społecznego, czy wreszcie uczuciowego,—jest dziś kwestją aktualną, a tem samem podlegającą gorącym sporom.

Kobietom, które w największym ferworze walki o prawa i pracę nie mogą i nie chcą zapomnieć o swoim obowiązku macierzyństwa — książka dr. Golińskiej-Daszyńskiej wyjaśni niejednego trapiący je problemat. Na poważnym materiale naukowym i faktycznym oparte wywody polskiej uczonej wnoszą nowe, ciekawe wnioski zarówno ze względu na zagadnienie polityki populacyjnej, jak i na stanowisko kobiety w zagadnieniu rasy. W wyniku rozważań autorki, sprawa macierzyństwa nie może być argumentem przeciw równouprawnieniu kobiet, należy tylko sprawę postawić na zdrowym gruncie nauki. A właśnie intelektualny rozwój kobiety, jej rzeczywiste współdziałanie w pracy cywilizacyjno-kulturalnej może najpewniej dopomóc racjonalnemu przyrostowi ludności zdrowej, silnej i moralnej.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

## SZKIEŁKA WRÓŻEBNE

JUDYTA

Nie chcę nigdy myśleć o tej, co zabiła Holofernesa zdradą,  
ucinając sennemu głowę.

Moja Judytka ma płowy włos,  
wymyka się z izby rano na bagna, strojne w gąiki brzozowe;  
gdy jeszcze były pod lodem i twarde,  
z końcem lutego, początkiem marca

— zbierała wśród kępek zmarzłe jagody  
żórawin do kwarty blaszanej, lub garnca.  
Teraz pod liśćmi tropić zaczyna poziomki,  
czernice błyszczące jak śrut, i w lśniący brzozowy zwitek  
wsypuje zmieszany cenny swój  
pachnący lasem i moczarem dobytek.

Miga po drogach wśród żyt,  
ucieka z klombów z wyrwaną w zębach begonją,  
bose jej pięty dudnią w podłogę strychu, jak w bęben,  
w panicznej ucieczce do stajni gonią.

Z pod łokci dorosłych nagle się zjawia  
pyzata, rumiana, w chuście, z oczyma jak tarki  
— Judyta, obca Holofernesowi i zdradzie,  
córka kucharki.

NINA

Za dużo jej na świecie. Mamy jej wszyscy dosyć.

Goni za nami w powieści  
rozwydrzona, sportowa, na rowerze, siodle...  
Kocha się, całuje, pieści,  
łamie nogę, rękę, trzy zębra,  
wydaje na świat dziecko — niestety nieżywe;  
jedzie do Afryki, kupuję kopalnię złota  
i wraca, murzyna i lwa trzymając niepotrzebnie za grzywę.

Wolę Ciebie, Ty jedna, jedyna Nino,  
obarczona tem imieniem podstępnie i bez własnej winy,  
źródło jasności, cicha rzeka słodyczy,  
Aniele Stróżu najczarniejszej serca godziny,  
Siostrzo Miłosierdzia, przebacząca zimny egoizm ojcu,  
okrucieństwo matce i szaleństwo — bratu,  
idąca po własnym męczeństwie  
jak cesarz Otton trzeci po drodze rozesłanej z szkarłatą.  
Wolę Ciebie — i kocham Cię,  
choć wiem, jaki gniew święty w Twem sercu się roznieci  
za ten pomysł mój, zrodzony z miłości i perfidji,  
za ten pean, pełen niedyskrecji.

ALINA

Czy koniecznie z dzbankiem i wiankiem w gaju  
w takt kukulki stąpa i zbiera jagody?

Bynajmniej — obróciło się koło losu — dziś inny jej stan,  
i inne przygody. [przyjemności

Dzieweczki zaściankowej prostoty obyczajów zbyła  
i szlachecko wiejskiego zacięcia,  
w krótkiej sukience tu i ówdzie haftowanej,  
przypadkowo przepasanej, chodzi do „zajęcia“.

Rozkwita jak róża, nieraz jest córką stróża,  
w kapeluszu, co oczy zadumą ocienia,  
i wygląda jej czasami Anioł Stróż,  
a czasem chyba sam kusiciel z za ramienia.

Stuka na maszynie szybko,  
z szelestem przewraca fioletowe kalki i białe bibułki  
i zukosa śledzi ją stary szef  
i wzdycha tymczasowy substytut koncyjenta, akta składając  
A ona ma w szufladzie „Trędowatą“, [na półki.  
którą całe biuro kolejno z rąk do rąk sobie pożycza,  
na szefa ani spojrzy, śmieje się z koncyjenta i jego substytutu  
i czeka — na królewicza.

OLGA

Sprężysta jak gałąź leszczyny. Zegniesz ją  
— niezłamana skoczy ci do oczu.

Jeździ wspaniale konno;  
powraca z karkołomnych skoków w polu z kwiatami w warkoczu,  
ze śpiewką chłopską w zębach,  
jak wyrostek ze szkół z papierosem.

Jeździ na ski, na bobsleigh,  
w białych śniegach rudym albo czarno-lśniącym świecąc włosem.  
Niebezpieczna w miłości jak mężczyzna,  
zdobywa jak się zdarzy — odwagą lub zdradą,  
nie dba o sąd, obyczaj, prawo.

Rzuci cię w mgnieniu oka, jeśli jej zawadą  
— jak mężczyzna — dla chwili, pięknej twarzy,  
odmiany, pieniędzy.

Żyje jak piękny, młody chłopak,  
zuchwale, nad siły, nad stan, byle prędzej.  
Są tacy, co w płomień skaczą dla niej, lecz matka stara oczy  
i siwą głowę bezsilnie schylając na ramię, [wypłakuje...  
modli się, aby prędzej przyszedł ktoś —  
co tej nieujarzmionej mężne serce złamie.



## KRAKÓW I WARSZAWA W 1813 ROKU

Lecz obok Krakowa, bawiącego się więcej, niż należało, z drugiej strony Rząd, Rada Konfederacji i Książę Józef Poniatowski byli ważniejszymi sprawami zatrudnieni. Wszyscy sprzymierzeńcy Napoleona odstępowali go kolejno w miarę, jak jego wojska ich kraje częściowo, lub zupełnie opuszczały. Austriacy jedynie zachowali jeszcze dotąd jakąś powierzchowną przyzwoitość, nie mogąc, czyli nie chcąc jawnie Napoleona, zięcia cesarza Franciszka I, opuścić; czynili jednak wszystko to, co w ich mocy było, aby złączeniu się Wojska Polskiego z wielką armją francuską przeszkodzić i aż do końca wojny w granicach Księstwa Warszawskiego, lub w Galicji zatrzymać, co chwila inne, a zawsze do tego samego celu dążące, podając Księżciu Józefowi propozycje i warunki.

Inna zaś burza groziła tymczasem Księżciu Józefowi od Warszawy. Książę Adam Jerzy Czartoryski, ten przyjaciel Aleksandra z jednej, a syn Adama Kazimierza Czartoryskiego, marszałka Konfederacyjnego Sejmu z drugiej strony, przebywał wtedy w Warszawie, przedstawiając się jej mieszkańcom jakby duch opiekuńczy osieroconej ojczyzny, a wzbudzając tam, o ile możliwości, chęć do połączenia się zupełnego i bezwarunkowego z tymi, na których zgubę i zawojowanie przed kilku miesiącami ojciec jego z dostojnego swego marszałkowskiego stanowiska całą Polskę i Litwę zachęcał! Takiej sprzeczności jednocześnie w tejże samej rodzinie trudno zaiste gdzieindziej, jak w Polsce, znaleźćby można. W Polsce, gdzie wielcy panowie, zawsze dwuznacznem postępowaniem do rozmaitych stronnictw członki swych rodzin sposobiąc, w każdym wypadku jednych drugimi zasłaniać umieją. My zaś, starodawna tego kraju szlachta, prosto, bezwarunkowo za wielką istnienia naszego ideą żyć, poświęcać się, umierać, lub Syberję zaludniać biegniemy, nie zważając wcale na gorzką niesprawiedliwość, z którą częstokroć własni współrodacy nas sądzą i potępiają.

A taki jest cały wątek ówczesnych intryg politycznych krakowsko-warszawskich, które muszę tu wiernie przedstawić dla równie ważnych, jak ciekawych szczegółów.

Skoro tylko armja rosyjska, Francuzów ścigająca, gwardja i sam cesarz Aleksander Księstwo Warszawskie przebyli, zalało kraj cały moskiewskie powstanie, krzyżem na czapkach odznaczające się. Były to pułki nieregularne, z chłopów złożone, i kozacy, po granicach Księstwa rozstawieni.

W Warszawie zaś wprowadzono Rząd tymczasowy pod przewodnictwem pana Łanskoja, złożony

z pp. Mikołaja Nowosilcowa, Tomasza Wawrzeckiego (tego samego, co po Kościuszcze nastąpił, gdy nam ten bohater w klęsce pod Maciejowicami wydarty został), księcia Ksawerego Lubckiego i Świeczyna, jako policmajstra. Zadaniem tego rządu było o to się starać usilnie; lecz jak najłagodniej, ażeby mieszkańców całego Księstwa Warszawskiego dobrotliwymi sposobami nakłonić, aby się sami bezwarunkowo carowi Aleksandrowi poddali, odstupując króla Saskiego, przez despotyczną wolę Napoleona im narzuczonego.

Mało, albo wcale żadnego współczucia te podszepcy nie znalazły: żaden urzędnik, przez Rząd tymczasowy rosyjsko-polski na swoim miejscu zostawiony, nie dał się do krzywoprzysięstwa nakłonić.

Rady Departamentowe, na ten cel zwołane, oświadczyły stanowczo w nader pięknych odezwach, które dotąd w mych papierach przechowałam, że do niczego przystąpić nie mogą, póki przysięga, królowi Saskiemu wykonana, obowiązywać ich nie przestanie. Najglówniejszą rzeczą więc było zapewnić sobie wojsko i jego szlachetnego wodza. A że część rodziny księcia Adama Jerzego Czartoryskiego w Krakowie się znajdowała, łatwo więc było zawiązać między nią, a księciem Adamem, w Warszawie będącym, korespondencję i stosunki, których skutki nieomylnie pomyslnie być miały.

Ordynat Stanisław Zamojski, szwagier księcia Adama, był wprawdzie prezesem Rady Konfederacyjnej, lecz z dowodów autentycznych jawnie się okazuje, że duszą i sercem zamiarom księcia Adama sprzyjał; żona Ordynata, ciągle, z bratem swoim, księciem Adamem, korespondująca, była główną sprężyną tych wszystkich układów.

Nasz Książę Józef, zawsze prawy i niezłomny w szlachetności swojej, do niczego się nakłonić nie dał, a tak Rosja z jednej strony, przez księcia Adama Jerzego Czartoryskiego, a Prusy—przez wysłanego do Krakowa księcia Antoniego Radziwiłła, który jedynie przez przyspieszony wyjazd z Krakowa wolność swoją zachował,—nic nie wskórały. Austriacy zaś, przez niesłychane utrudniania i ostre warunki naszemu wojsku do przebycia Czech podający, słowem wszyscy trzej najeźdźcy, co Polskę między siebie rozszarpali,—znalezli w tej epoce nad wszelkie swe spodziewanie w Wodzu wojska naszego szlachetnie myślącą polską duszę, co obietnice i groźby ich niepospolitym hartem umysłu odrzucać nie przestawała.

Książę Józef zgromadził nakoniec cały swój korpus pod same bramy Krakowa; miał on w istocie tylko 11000 zdatnego do boju żołnierza oprócz załóg,

w Modlinie i Zamościu zostawionych, które po wyjściu wojsk naszych z Krakowa trzynastomiesięczną blokadę wytrzymały i dopiero po bitwie Lipskiej przez układy te twierdze opuściły. Korpus polski odebrał wtedy jeszcze ostatnie w Warszawy nader tajemne wezwanie, aby w Krakowie i jego okolicach do końca wojny pozostał.

List Ordynatowej Zamoyskiej, własną jej ręką pisany, potwierdza te intrygi; ręka jej była mi bardzo dobrze znana, nie jeden albowiem bilet w towarzyskich stosunkach z tą panią od niej odebrałam. Sposób zaś, w jaki się dostał w moje ręce, jest następujący. Mój mąż, jako prefekt departamentu warszawskiego, odbierał często polecenia od pana Tadeusza Mostowskiego, ministra spraw wewnętrznych, do wyszukiwania rozmaitych sposobności dla utrzymania rozmaitych stosunków z Warszawą, z którą coraz łatwiej ku wiosnie komunikować się było można. Na początku kwietnia dowiedzieliśmy się, że pani Jezierska, siostra wojewody Piotra Bielińskiego, a matka Jana Jezierskiego, znanego później z dwuznaczej roli w 1830 r., z Krakowa do Warszawy odjeżdża. Mój mąż zawiadomił zaraz o tem Ministra, ten oddał mu list, adresowany do Dowiakowskiego w Błękitnym pałacu; na drugiej jego kopercie był napis: „Do brata właścicielki tego domu“ t.j. do księcia Adama Jerzego Czartoryskiego. Pani Jezierska, przyjechawszy na rosyjskie forpoczty, miała z tym listem wielki ambarras, bo pism opieczętowanych nie było wolno przewozić; otworzyli go kozacy, a że czytać nie umieli, chcieli ją do wyższej komendy prowadzić, zmiękczeni jednak darem 30 dukatów, puścili ją nakoniec wraz z listem, którego ona, przyjechawszy do Warszawy, oddać nie śmiała, i dopiero w kilka tygodni potem, za naszym powrotem do Warszawy, memu mężowi go oddała. To ważne pismo wpadło wtedy na kilka chwil tylko w moje ręce, a te były dostateczne do odczytania, ocenienia i przepisania go, bo lubiłam zawsze takie ciekawe fakta zbierać i dla mego syna na przyszłość przechowywać. List ten po sześciotygodniowym błakaniu się został nakoniec własnoręcznie przez mego męża księciu Adamowi Jerzemu Czartoryskiemu oddany, ale już wtedy Rząd, wojsko i wszelkie nadzieje nasze były z owym wielkim genjuszem złączone, którego gwiazda niejednym jeszcze promieniem chwały przed zupełnem wygaśnięciem swoim zajaśnieć miała..

Wybiła nakoniec rozstania się godzina! Książę Józef, który żadnym namowom, a tem mniej obietnicom, do swej szlachetnej duszy przystępu nie dawał i cześć swoją, bądź co bądź, na tak śliskiej drodze zachować postanowił, Książę Józef, mówię, przeniósł swoją główną kwaterę do Prokocima. Korpus jego

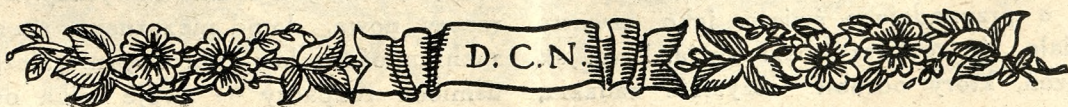
przeszedł Wisłę i około Podgórza w ówczesnym rejonie miasta Krakowa się rozłożył. Tam go ścigały przez kilka dni jeszcze czułe pożegnania i staranne zabiegi koło ulgi w cierpieniach, a nawet wszelkiego rodzaju pomoc wojownikom naszym przez żegnających się z nimi udzielana; rzekłbyś, że wielka i taż sama rodzina się z sobą rozstaje.

Od Kazimierza, mostu, Podgórza i całej bitej drogi aż do Prokocima snuły się dzień cały powozy, konni i pieszo idący; zgoła wszyscy ci, co z wojskiem dobrowolne wygnanie z Księstwa Warszawskiego dzielili. Nadzieje, swobody i wspomnienia nasze były odtąd w tym tak małym punkcie kraju zamknięte i miały, niestety, z niemi uchodzić i tułać się w obczyźnie długo jeszcze..

Opuściliśmy więc wszyscy Kraków na początku wiosny, udając się bezpośrednio tam, gdzie nas najczystsze wiodły uczucia, lub najświętsze obowiązki wzywały: Rząd za wojskiem do Drezna, Rada Konfederacyjna po większej części do Galicji; prefekci zaś mieli rozkazy, ile możliwości, do kraju wrócenia i, jeżeli się to uda, do objęcia napowrót urzędowania, tak dla chronienia obywateli od ucisku, jak i utrzymywania związków z prawdziwym rządem w Dreźnie, o ile to wykonać zdołają.

Wróciłam więc z moim mężem do Warszawy. Opatrzył się on na to upoważnieniem Rady Ministrów i pozwoleniem udania się do wód przez lato, czyniwszy zadość poleceniom, które otrzymał od tejże Rady. Spoczęliśmy na łonie rodziny: — syna, matki i siostry; ujrzelśmy się znowu w nieskalanej żadną podłością, bez wyrzutu sumienia, bo bez żadnego uchybienia prawości i rzetelnym uczuciom wierności zachowanej Ojczyźnie w niedoli.

Po przedstawieniu się prezesowi tymczasowego Rządu warszawskiego, panu Łanskojowi, i jego członkom, i odwiedzeniu księcia Adama Jerzego Czartoryskiego, któremu dopiero wtedy mój mąż ów list tajemniczy pani Zamoyskiej wręczył,—zajął się on skwapliwie danemi sobie poleceniami. Ja zaś byłam wtedy powszechnej ciekawości i zajęcia celem. Powrót mój do Warszawy z owego ogniska towarzyskich wypadków, z owego ogólnego zebrania tych, których myślą i uczuciem wszyscy tu ścigali,—nadawał mi w istocie jakąś posłanniczą, a tajemniczą barwę, która tysiącznych poszukiwań i badań przedmiotem być musiała. Położenie moje i stosunki towarzyskie dawały mi sposobność dowiedzenia się z pewnością o różnych wydarzeniach i szczegółach, dla innych kobiet wcale niedostępnych. Przywiozłam z sobą znaczną ilość listów, które za naszym powrotem i ich rozesłaniem, niemałą chęć widzenia się ze mną obojście u odbierających je wzbudziły.



## PRZYGODY BŁĘKITNYCH MOŻLIWOŚCI

Teraz przypominała sobie niejednokrotnie owe męczennicze motyle, wysiłki obumierających ze znużenia skrzydeł, które chcą żyć. Chodziła metodycznie od biura do biura i od placówki do placówki, od redakcji do sklepu z wędlinami i od instytucji społecznych do księży. Wszędzie ją oglądano szybko, a uważnie, wysłuchiowano w roztargnionym pośpiechu, żalowano, że narazie, niestety, bezwzględnie nic się nie da, ale żeby się jednak dowiadywała, bo kto wie? Czasem dawano zato adres innej możliwości, a kiedyindziej — kategorycznie zapowiadano, że kto nie ma nawyku do pracy ręcznej, jak zmywanie po restauracjach — lub fachu, jak kapeluszarstwo — ten się myli, sądząc, że dolary same mu na łeb spadną. Niech tak nie myśli i niech się obejrzy za czemskolwiek, byle żyć, bez pańskich europejskich narowów, na które tutaj niema miejsca!

Cenne uwagi i czas, na nie zużyty, uważano snąc, metodą amerykańską, za pieniądź, gdyż odprawiano ją potem z rodzajem uczciwie spełnionego obowiązku. Czasem patrzono na nią takim wzrokiem — byli to ci lepsi — jakim niańka patrzyła na nią samą, gdy miała, podobno, umrzeć na szkarlatynę, ale zawiodła. Czytało się za tem spojrzeniem:

— Właściwie, szkoda, że umrze! No, ale co robić? Gdyby się litować nad każdym emigrantem, toby się pieniążki rozpląnęły, jak strużka leż! Każdy musi przeżyć, co mu tam w gorze napisano...

\* \* \*

Romie napisaną była widocznie w górze — determinacja. Obszedłszy przez cztery pierwsze dni dokładnie wszystkie wręczone adresy i nie zdobywszy nic, prócz kilku nowych adresów, które zresztą przeważnie już się wyprowadziły gdzieindziej — ogromnie się uspokoiła. Nie, nie dało się zrobić nic. Widocznie należało umrzeć — albo czekać, aby się zajęła nią policja. W każdym razie, miała spokojne sumienie: zrobiła wszystko, co do niej należało: Poszła nawet do kościoła, pomodliła się; była w biurze amerykańskim dla bezrobotnych emigrantek i obiecano jej tam, że za trzy tygodnie, możliwe, iż inne biuro będzie mogło dać jej zaklejanie kopert od setki, jeżeli kandydatka, która to robi dziś, otrzyma spodziewaną lepszą posadę. Poczem uczuła śmiertelne zmęczenie i, uzyskawszy od sióstr jeszcze trzydniowe przedłużenie wyprowadzki, wzbogacone nadspodziewanie o przypadające święto, jako czwarty dzień — oddała się rozkoszy bezrobocia. Była, jak sumienny uczeń, który odrobił wszystkie zadania,

ale o wysnuwanie z nich wniosków ogólnych niech go nikt nie pyta, bo wychodzi to poza granice jego obowiązków i możliwości.

Wówczas, korzystając z tego, że na stołowanie nie miała już prawa, wychodziła z domu rano — i nie wracała, aż późnym wieczorem. I wielkimi oczami patrzyła na życie zakłętą swiata za szybą, które pędziło koło niej. — A może to ona właśnie była dziwaczkiem akwarjalnym za taflą szkła, który przykłada do niej pyszczyki i patrzy oczyma z drogich kamieni na dziwne, tajemnicze, nie trzymane żadną zaporą życie, które się toczy mimo jego celu — a jednak jest niedostępne, jak słońce, widziane z dna?..

\* \* \*

Można powiedzieć, że dopiero bezrobocie i pewność, że zginąć musi, dały młodej prawnicze całą ostrość rozkoszy w odczuwaniu życia. Była wolna, i świat stał przed nią otworem! Jak straceniec w dniu śmierci, mogła pozwolić sobie na królewską ucztę pożegnalną. Uczta ta de facto składała się przeważnie z kuszących, jak pocałunki południa, owoców, zakupywanych rano w groserni, a które brała ze sobą na dalekie, nieznanne wędrówki. Cieszyła się wspólnym ich wyglądem prawie tyle, co smakiem. Złote ananasy nieznannej wielkości; dojrzałe, aż płynące banany, winogrona, toczące się poprzez siebie przepychem okiści, zielone, złote, amarantowe, czerwone i opalowe, słodkie już na samo wejście, zastygające łzami cukru, jak słoneczną żywicą. Melony, kawony i maleńkie dynki; mieszańce cytryny z pomarańczą, które się raczej piło, niż jadło, a raczej wchłaniało zapachem, niż smakiem. Tysiączne odmiany kalifornijskich owoców, zwalonych w misterne stosy, dziwacznych nazw, smaków i kształtów, które trzeba było umieć jeść o właściwym czasie, z właściwymi doprawami, w nieoczekiwanych połączeniach sprzecznych kombinacji. Ponętne pudełka, obliczone na śniadanie, pełne nieznannych smakołyków, jadanych na sucho, lub z sokami, ze śmietanką, czy w majonezie, zatykane na patyczku „candyes“ z obsmażanych owoców i legumin — lody pływające w mętnej sodówce. i niewinna maślanka, sprzedawana w każdym składzie aptecznym obok siebie — sandwicze z jarzyn, podobne do mozaiki, i zwiedzane ostatnio podręczne grill - roomy, czy lunch'e, gdzie za nikłe centy z automatycznych okienek wyskakiwały ogłoszone dania, zakończone rurką z kremem, wielką, jak komin fabryczny. Były to wszystko rzeczy nowe, dotąd niezaznane, i z głodną rozkoszą zachłanności piła tę krótką niezależność, zatracony uśmiech rozpacz — swoje kilka ostatnich dni za



swoje kilka ostatnich dolarów. I nie myślała — twar-  
dem postanowieniem świadomości — o potem...

\* \* \*

Porcję dzienną owoców zjadała rano w Central  
Parku na ławce, niesyta nigdy patrzenia na zaczaro-  
wany świat. Tam najbliżej ocierała się o nieznaną, ale  
możliwą — przecież możliwą nawet i dla niej, zanim  
żyła: — Przygodę. Ach, nie uliczną przygodę z zacze-  
pieniem i odprowadzeniem! Ameryka była krajem wiel-  
kich zdarzeń i niebosiężnych możliwości. Tu, na tych  
samyh ulicach, złotolity wóz szczęścia przejeżdżał  
codzień i porywał wybrańców, którzy się trafili na dro-  
dze. Gdzie prowadziły nieznane skrety tej drogi?  
Którędy się przewijały, jakimi łamańcami niezbadane-  
go labiryntu miasta? Zapewne, nie temi, które pro-  
wadziły do jej znakomitego biura — i nie temi, któ-  
remi wracała codzień do Szarego (a może był błękit-  
ny?) — klubu, na swoje skromne osmnaste piętro!  
Domyślała się tylko, gdzie szedł ten złoty szlak. Za-  
pewne wybrzeżem, wspaniałą promenadą milionerów,  
gdzie jednak autobus woził i pomniejszych świata:  
słynną Riverside! Wieleż razy, obolała od terkotu  
maszyn i huku śródmieścia, siadała po biurze w znany  
zielono-żółty, świetny zresztą, autobus z górną plat-  
formą i płynęła oczami po zaczarowanej, mijanej  
z równym szelestem kół, dzielnicy! Było tu cicho  
i przestrzennie, wytwornie i okazale, samotniczo i mi-  
ljonersko — dymy ostrożnie krążyły opodal, zakapca-  
jąc dzielnice biedniejszych — turkoty i hałasy kolei,  
tramów, podziemniaków i napowietrznej — przyczaiły  
się w przyzwoitej odległości — wspaniała jezdnia  
głuszyła szmer aut, jak dywan — i miljonerskie wille  
patrzyły przez przystęmi żrenicami szyb ze spokojnem za-  
dowoleniem na pięknie utrzymany park, okalający  
na całej długości brzeg rzeki, na sunące wyciągniętym  
szeregiem lustrzane pudła aut i nawet na torujące  
sobie poprzez gęstwą ich pas drogi, żółto-zielone żu-  
ki autobusów.

Miljonerskie dzielnice znała, oczywiście, tylko  
z zewnątrz, ale i z zewnątrz wyglądały wspaniale. Jacy  
jednak byli ludzie, którzy je zamieszkiwali? Jakimi były  
i co robiły przez cały dzień ich kobiety, za koronko-  
wemi roletami zawsze jakgdyby śpiących szyb? Jacy  
byli mężczyźni? Nie miała sposobu się dowiedzieć.  
Kryli się nawet na ulicy po wnętrzach zbytkownych  
aut, wysłanych wewnątrz zamszami dyskretnych, prze-  
ślicznych kolorów, jak pudełka na klejnoty. I tylko  
czasem, w przelocie, mignęła za szybą delikatna  
kobieca główka, o kapryśnym wdzięku amerykańskich  
pocztówek. Szoferujący zazwyczaj przy kierownicy

mężczyźni wyglądali szczególnie tajemniczo, spowiręci  
w bogate futra w zimno, a sportowi od stóp do głów  
kiedyindziej. Dokąd jechali?.. O tem wiedziała tylko  
z kroniki towarzyskiej gazet. Może do Kalifornji włas-  
nem autem, na słoneczny brzeg? — Może do Flori-  
dy? — Może naokoło świata?.. Świetne walizy z na-  
lepkami całego globu ziemskiego, załadowane na kad-  
łub specjalnych touring-car'ów, przykuwały wzrok,  
jak niedościgniona apoteoza szczęśliwości. Jechali  
piękni, bogaci, beztroscy i wytworni, w drogę Ra-  
dosnej Przygody — a ona oto miała trzy dolary za ca-  
ły majątek, i była bez posady, bez dachu i bez per-  
spektyw. — Wytchnięta guma, porzucona na boku  
drogi, po której suną w kraj szczęśliwości pyszne  
auta możnych.

Park był natomiast miejscem, gdzie czasem wi-  
dywała ich bliżej. Siadała mianowicie blisko drogi  
dla konnych i czekała; albo szła, wbrew i naopak  
przepisom, właśnie drogą, wijącą się malowniczo  
wśród dolin i wzgórz parkowych, gajami i łąką, a o któ-  
rej tablice głosiły wyraźnie, że przysługuje tylko jeźdź-  
com. Spotykała ich wtedy tak blisko! Przystawała,  
usuwając się nabok, gdy zdaleka ujrzała galopującą  
parę lub grupę, i czekała z bijącym sercem, chłonać  
oczyma każdy szczegół. Jakże piękne, jakże niewi-  
dziane były te sylwetki! Patrząc po wspaniałych wysta-  
wach okiennych na siodła i trenzle, na rejtuzy i szpic-  
ruty, na czapraki i nieznanego użytku drobiazgi spor-  
towe, myślała czasem, że to są wystawy naniby, że  
tego, właściwie, na codzień nie używa nikt. A oto nad-  
jeżdżali oni, którzy używali. W równym, prężnym  
jak guma, galopie kopyt końskich przelatywały przed  
nią uwielbiane, nierealne zjawy z powieści Wal-  
ter Scotta. Jakże precudne były te kobiety, w cylin-  
derkach i woalach jedne, w męskim stroju i po mę-  
sku siedzące w siodle—inne! Jak niewiarogodnie urocze,  
roześmiane twarzyczki jaśniały nad ciemnią amazonek!  
Jak precudne, długie, miękkie rękawiczki z mankie-  
tem aż po łokieć miały na maleńkich rączkach, ścis-  
kających drogocenne szpicruty! Śniade twarze spokoj-  
nych, pewnych swego mężczyzn przy nich tchnęły  
dobrobytem, doskonałem wypielegnowaniem i równie  
doskonałem zahartowaniem. Nie byli, jak europejscy  
biurowcy i bankierzy: to galopowała zdobywca rasa  
ludzi, z których każdy mógł jutro pójść pieszo z ple-  
cakiem po złoto na Alaskę, lub w robotniczej bluzie  
kuć stalowe sztaby w fabryce, aby je przekuć na do-  
brze zarobione złoto. A za to złoto kupić godzinę  
przejazdki z amazonką, za którą długo wiał barwny,  
drogi szal i długo dźwięczał bezstroski, przesłiczny  
śmiech — radość jego stalowej pracy. (d. e. n.)



# KACZĘTA

(powieść)

— Zaczekaj, Stasiu, chwilkę. Miałam ci właśnie powiedzieć...

— Co takiego?

— Ojciec się bardzo irytował, że wyszedłeś z domu na całe popołudnie.

— A to dlaczego?

— Bo byli goście. Wiedziałeś przecie o temi Teofil cię uprzedzał.

Stas machnął ręką:

— Et, moja ciociu...

— Trzeba było zrobić to dla ojca i zostać. Teofil zatrzymywał gości i powtarzał, że ciebie tylko patrzeć. Chciał sprezentować narzeczonej Tomka całą rodzinę.

— Więc jeżeli ciocia chce wiedzieć, to ja właśnie dlatego wyszedłem z domu.

— Dlatego?

— Nie chcę, żeby i mnie mieszali do tych swoich spekulacyj matrymonjalnych... Nie chcę i już.

— Jakto, Stasiu? Więc ty także uważasz, że...

— Nic nie uważam. Chcę spać. Dajmy już temu pokój. Dobranoc, moja ciociu.

Cmoknął mię w rękę i wyszedł

A ja długo jeszcze usnąć nie mogłam. Myślałam wciąż o Tomku i o Hermince. Nad ranem wreszcie zmógł mię sen, ale ciężki jakiś, niespokojny. Najpierw przyszła do mnie Janinka. „Podobno pan Łebkowski się żeni? Przyniosłam właśnie prezent dla niego. Prezent ślubny...” I wyciągnęła z pod pachy zawiniątko. Zimny pot mię oblał, bo zawiniątko zaczęło płakać ludzkim głosem. A Janinka krzyknęła, śmiejąc się: „Nie poznaje go pani? To Kazio! Powinien się nasz Tomek ucieszyć, bo chłopiec do niego jak dwie krople wody podobny... Metrykę ma wypisaną na buzi!”

Potem znikła, a zato zjawił się pan Kazimierz. Zaczął mię po rękach całować i szeptać tym swoim przejmującym głosem:

— Niech mi pani przebaczy! Ożeniłem się z wędliniarką dla pieniędzy, a pani złamałem życie... Tylko dlaczego los mści się na Hermince? Czy to pani namówiła swego siostrzeńca, aby zmarnował moje dziecko? Bo on Herminkę zmarnuje, zobaczy pani! Zmarnuje; zmarnuje; zmarnuje... Ale pani ma dobre serce... Pani wyperswaduje Tomkowi to małżeństwo... Może sobie znaleźć dziesięć innych panien, jeszcze bogatszych i brzydszych... Już on potrafi głowy im pozawracać, że polecą za nim, jak ćmy w ogień!..

I raptem pan Kazimierz zamienił się w Tomka, zaczął się śmiać i wołać:

— Ciociu Juściu! Nie uważa ciocia, że moja narzeczona, to cud piękności? Trochę za chuda, ale ma worek pękaty. Ożenię się i będziemy gruchali, jak dwa gołąbki... A jak mi żonka obmierźnie, to ją pod cioci opieką zostawię, a sam — fiut, zagranicę! I tyle mię zobaczy! W Ameryce można zrobić pieniądze, trzeba tylko mieć kopf! A Tomeczek ma kopf nie od parady! Niedarmo się nazywa Łebkowski...

Uf! Zmordowałam się więcej, niż gdybym oka nie zmrzyła przez całą noc. Rano wstałam, jak z krzyża zdjeta. Głowa mię bolała i wszystkie kości. I jeszcze od tej myśli opędzić się nie mogę, że przecież panu Kazimierzowi przyrzekłam... Co ja mu właściwie przyrzekłam? Że z Tomaszem pomówię?

Ale co ja mu powiem? Nie żeń się? Przecież mnie i tak nie usłucha. Czy mię kiedy który z nich słuchał? Dawniej, jak byli mali, to co innego. Ale dziś każde ma własny rozum i nim się rządzi.

Oj, Antośko, Antośko!... Lepiej może, że cię tu niema. Zapłakałaśbyś gorzko, i nie raz...

16 grudnia

Myślałam, że już słowa nie napiszę w tym dzienniku. Ale dzisiaj nie wytrzymałam: za ciężko mi na sercu, a niema się przed kim wyżalić! Zresztą, już teraz dobrze zamykam te zeszyty. Nie doberze się do nich Adelka, chyba, żeby klucz dorobić kazała do tej szkatułki, gdzie chowam wszystkie moje święte i smutne pamiątki.

Dziś minął rok od śmierci Marka. Jak ten czas leci! Cały dzień płakałam, sprząając w jego pokoju. Wszystko tam stoi, jak stało — niczego nie dałam ruszyć i nie dam, póki tu jestem.

O dziesiątej było nabożeństwo żałobne w kościele Karmelitów. Poszli wszyscy: Teofil, Adelcia, Tomasz ze swoją narzeczoną — brakło tylko Stasia, bo jest na Śląsku. Teofil obiecywał, że do Lwowa pojedzie, Mareczka mogiłę odszuka i ciało tutaj przywiezie, ale to się wciąż jakoś odwleka. Ja tam nie nalegam. Niech sobie leży, kochanie moje, w tej ziemi, której bronił własną krwią...

Och, Marku, Marku! Miałbyś teraz blisko siedemnaście lat... Czy i ty także zacząłbyś już ciotką swoją pomiatać, wysmiewać się z niej w duchu i traktować, jak stary, niepotrzebny sprzęt?

Bo ja się tu w domu właśnie tak czuję: gratem bezużytecznym, który tylko zawadza. Czasem sama się łapię na tem, że zaczynam półgłosem mówić i stapać ciszej, jakby z obawy, by się nikomu swoją osobą nie narzucać.

A wszystko od czasu awantury z Tomaszem. Bortrudno inaczej to nazwać...

Mój Boże! wiele to już czasu minęło, trzy miesiące! A ja pamiętam każdużutkie słowo, każdużutkie...

Było to wkrótce po pierwszej wizycie pana Kazimierza z Herminką. Nie zebrałam się jeszcze na odwagę pogadać z Tomkiem, gdy pewnego dnia on sam przychodzi na obiad jakiś kwaśny i odzywa się podczas jedzenia:

— Stary zaczyna coś kręcić.

— Jaki stary? — spytałam, bo skądże mogę wiedzieć, że on tak pana Kazimierza nazywa.

A Tomek spojrział na mnie ze złością i powiada:

— Witulski. Chcieliśmy z Herminką oznaczyć wreszcie datę ślubu, żeby się odbył w początkach karnawału — a ten nagle trudności wynajduje: A jeszcze macie czas... A poczekajcie trochę... Tacyście młodzi oboje, nie śpieszcie się z tym ślubem...

Wzruszył ramionami:

— Dobry sobie! „Nie śpieszcie się!” Ile ja już tygodni zmarnowałam na te konkury! Panna się każe emablować, i to jak jeszcze! A cukierki znoś, kwiaty, a przychodź, a przesiaduj całymi godzinami, trzymając ją za palec... A gadaj czułe brednie do uszka... Właśnie mam czas na takie rzeczy!

Adelcia jadła zupę małemi łyżkami, siedząc sztywno przy stole, jak lalka. Tylko jej w oczach migotały chytre ogniki. Teofil także się nie odzywał, mlaskał głośno i raz poraz obcierał wąsy, ociekające kapuśniakiem.

Tomasz znowu zaczął po chwili:

— Gdybym wiedział, że taka wymagająca, jeszczebym się może rozmyślił. Ale niechże przynajmniej prędko będzie ten ślub! Raz się to skończy...

Przełknęłam ślinę i zapytałam:

— Co się skończy?

Spojrzał na mnie złym wzrokiem (znowu!) i nic nie odpowiedział. Zato Adelcia, kładąc łyżkę na talerz, objaśniła uprzejmym głosem:

— Czułości narzeczeńskie.

Pomyślałam: „teraz, lub nigdy” — i przeżegnałam się w duchu:

— Ja też uważam, że lepiej byłoby odłożyć, a może nawet... zerwać.

— Co odłożyć? Co zerwać? — spytał Tomasz, a i Teofil nadstawił uszu.

— ... To małżeństwo. Przecie ty poprostu oszukujesz biedną dziewczynę. Ty jej wcale nie ko...

Ostatniego słowa nawet nie zdążyłam wymówić. Tomek zbladł. Obie dłonie położył na stół i wlepił we mnie wściekły wzrok:

— Co takiego?! Co ciocia powiedziała?

— Powiedziałam, że myślę... że...

— Da ist der Hund begraben! — krzyknął w pasji — już teraz wiem, skąd stary Witulski czerpie natchnienie! Ciocia w tem swoje paluszki umoczyła! Wyczuwałam w tem wszystkim jakieś konszachty, jakąś naganę na mnie... Ale, u diabła, jakim prawem ciocia wtrąca swoje trzy grosze do mego małżeństwa? Jakiem prawem?

— Prawem uczciwości! — odparłam i wstałam od stołu.

Tomasz się także zerwał, za nim Teofil. Jedna Adelcia spokojnie siedziała na swoim miejscu i nawet — nie wiem, jakim cudem zdołałam to zauważyć — nabrała sobie na talerz borówek, które miały być do pieczenia.

— Co? Co ciocia przez to rozumie? Co ciocia chciała powiedzieć? — wrzasnął Tomasz, postępując krok naprzód.

— Mówię, — odparłam cicho, ale wyraźnie — mówię, że małżeństwo z Herminką uważam za nieuczciwość z twej strony.

— Słyszysz ojciec! Czy ojciec słyszy, co ta stara tu plecie?!

— Tomek, hamuj się! — rzekł Teofil.

— To ja się mam hamować?! Ja? Nie, tego już zawiele! Przez jakieś babskie intrygi mogę zostać na lodzie, teraz właśnie, kiedy się zaangażowałam w spółkę handlową, prawie bez kapitału! A tu mi się każą hamować! O, psiakrew! Ale już ja się cioci odwdzięczę! Niechno ten safanduła zacznie kapryścić! Popamięta ciocia, co to nos wtykać w cudze sprawy!

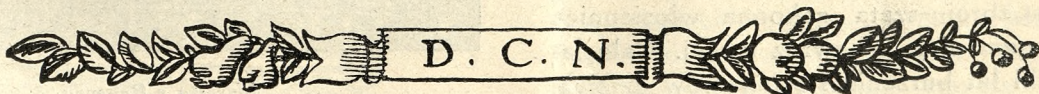
— Tomasz!! — huknął Teofil ostro, ale Tomek już wybiegł, trzasnąwszy drzwiami.

Staliśmy naprzeciwko siebie — ja i Teofil. Czulałam, że mi cała krew zbiega z twarzy, a nogi drżą podemną, jakbym była pijana. Teofil teraz dopiero poczerwieniał i przyglądał mi się z ledwo ukrywaną wściekłością.

— Siadajcie, moi państwo — ozwała się spokojnie Adelka — już i tak pieczeń wystygła.

Mimowoli usłuchaliśmy oboje. Teofil nabrał olbrzymią porcję na talerz, chyba przez nieuwagę, bo nigdy tyle mięsa nie jada. Wreszcie rzekł, siląc się na ton spokojny:

— Justysia chyba doprawdy zwarzjowała na starość. Co to znów za historie? Co to ma znaczyć te „konszachty“ z panem Kazimierzem? Tomasz się uniósł i zapomniał, do kogo mówi, ale święty chyba by nie wytrzymał! Czy Justysia rozumie przynajmniej, co powiedziała? Zarzucać Tomaszowi nieuczciwość! Jakie Justysia ma powody po temu, żeby chłopakowi opinię psuć — i to u ojca narzeczonej! Czy Tomek ukradł co, czy kogo zamordował, żeby nie miał prawa zenić się wedle upodobania? Może mi Justysia zechce łaskawie wytłumaczyć...



ZYGMUNT KNOTHÉ

## IMPRESJE KOŚCIELNE

W mroku dziejów

Zarastały trawą wielkie rzymskie gościńce, poprzez Galję wiodące. Rozpadały się w gruzy dawne cyrki, świątynie i wille wodzów. Wraz z północnymi hordami jakby krwawa kurzawa przysłoniła zachodni, cywilizowany świat. Zapanował mrok, przerywany tętentem koni, szczękiem mieczów, świstem strzał, krzykami mordowanych. Naszcze kiwały wielkie myśliwskie ogary, uganiano się z oszczepem za zwierzem wszelakim, od którego roiły się bory, a nierzadko i ludzi przetrącano po drodze. Wybuchwały nocami pożary gwałtowne, trawiące ludzkie osiedla, straszliwy ogień, z którym nie umiano walczyć. Ludzie chodzili umazani krwią, przesiąkli dymem ognisk. A coraz dziksze plemiona przelewały się przez Alpy.

Z licznej rzeszy walczących ludów wylaniały się potężne, silne indywidualności, jednostki—przewyższające otoczenie. Królowie, comesowie, wodze. Zakładali księstwa, stwarzali państwa, rośli w moc i siłę, łączyli ogromne połacie ziemi, podbijali narody. A z kolei przychodzili inni, odbierali im władzę, mordowali, budowali nowe monarchje, jeszcze potężniejsze.

W rzekach krwi, w morzu ognia, w zgiełku walki.

Jakby powiew chłodzącego wiatru w upalny dzień, szedł w krwawą kurzawę dziejów chrystjanizm. Przebijał się, jak promień słońca poprzez leśny gąszcz, sączył się kropla po kropli przez dziesiątki lat do czary ludzkiej pierwotnej duszy. Budził nieznanne struny uczuć, łagodził okrucieństwa, uśmierzał dzikie namiętności, niósł ukojenie i otwierał drogę do nieba. Mówił o innym, wiecznym i szczęśliwym bytowaniu, mówił o cierniowej drodze pokuty, o odkupieniu i zbawieniu.

Szedł w dzikie zastępy zwycięski krzyż i chyliły się przed nim harde głowy; rósł w moc, krzepiony krwią coraz nowych męczenników.

Budził się lęk potępienia, piekła, wiecznej męki. Nawróceni wodzowie chcieli okupić swe winy. Budowali kościoły, klasztory, wyposażali zakony powstające; darowywali ziemie i lasy, znosili daninę z nałupionych skarbów.—Tylko módlcie się za nas, by nie ciążyła na nas klątwa krwi przelanej, by oddalić od nas piekło gorejące!—Zakupowano tysiące mszy św. i walczono nadal w imię Chrystusa, rozszerzano granice państwa Krzyża i—swoich włości.

Krwawe, ponure dzieje! Całe życie walki, a potem pokuta; miast zbroi—szata zakonna, włosienica na pokrytem bliznami ciele i powróż u szyi. Całe lata, dziesiątki, setki lat burzenia się porywów dzikich,

sprzecznosci, urabiania nowej, chrześcijańskiej duszy rycerskiej.

Jakież musiały być te kościoły ponurych lat, gdy sztuka zdawała się czemś na wieki pogrzebanem? Mocne, jak twierdze, by odeprzeć napad wroga, by przetrwać wieki, by nie spłonąć u ognia pożaru, by dać ochronę przed pociskami nieprzyjaciół. Surowe, mocne, ciężkie, niby zamki. Czasem błąkało się, jak echo, tchnienie rzymskiej sztuki, jakiś gzymś, rzeźba, kapitel,—a zresztą dłuto majsterka-mnicha rzeźbiło w kamieniu naiwny ornament z poplątanych linii, niby sznury poskręcane, niby gzygzaki jakies. Starano się odtworzyć podobiznę postaci, znanych ludzi—nieudolnie, sztywno; starano się stworzyć wizerunki ptaków, zwierząt. Z mozołem, z trudem ubierano wejście do kościoła w kamienne łuki, nacinane w powtarzający się motyw, ale więcej myślano o mocy i trwałości.

Malowali czasem wnętrza kościołów mistrze z dalekiego, złotego Bizancjum. Dochodziły tu blaski wielkiej sztuki wschodniego imperjum. Powstawały złote mozaiki.

A gdy zostawał zwycięzcą mąż światły, co na cesarskim bywał dworze, kładł na głowę koronę i oblekał się w szaty złociste—fundował kościół z całym przepychem Wschodu, przyozdobiony wewnątrz. Przywożono zdaleka artystów; rzeźbiono, rysowano, składano—i powstawały nieśmiertelne, wspaniałe bizantyńskie kościoły włoskie.

Grające przepychem barw w mroku wnętrza, tajemnicze, zastygłe w sztywności swych fresków, zdają



Mozaika z Rawenny



Mozaika z Rawenny.

się zasłuchane w echa modlitw, w szum złotych brokatów dworu, co się tu modlił.

I znów szły burze, wojny, pożogi. Runęły monarchje Merowingów i Karlowingów, a wraz z nimi runęły kościoły, zginęła cała epoka wkrwawej kurzawie. Pozostała gdzieś, w skarbcu najgłębszym kronika w pergaminowej księdze, przez długie lata ręką braciszka zakonnego spisywana. Uchowały się misterne inicjały modlitwy, spisanej w ciszy celi, oprawionej w złotą koronkę kutej oprawy, uchowały się jakieś klejnoty, pieczęcie. A w opustoszałej, cichej Rawennie, szarej, surowej, jakby pyłem wieków przysypanej—duma kościoł o dawnej sławie ludzi, co go fundowali. Patrzy na przechodzące pokolenie bolejącymi oczami Madonna bizantyńska. Uśmiecha się nieodgadniona twarz księżniczki z mozaiki grobowca. Rozpada się w gruzy grobowiec wielkiego Teodoryka.

A nad światem panuje przepotężny, promienny kryż Chrystusa.



## Z ŻYCIA EKRANU

(Odczyty o kinie. — Ostatni film polski. — Wirtuoz wizualności)

W Warszawie odbywają się odczyty najróżnorodniejsze. Można, naprzykład, usłyszeć prelekcję „o znaczeniu snów”, „o duchach w domu przy ulicy Mokotowskiej”, o tem, „jak pozostać wiecznie młodym” i t. p. Na te tematy nigdy nie brak prelegentów, no i oczywiście — słuchaczy. Tylko o kinie, które napozór cieszy się taką popularnością, dotąd nie mówiło się publicznie. Nie orientowano się, gdzie ten temat zaklasyfikować i kto, właściwie, ma się tem zająć. Mówi się u nas o kinie, jako o sztuce, już od dość dawna, ale mówi się o tem tylko na terenie towarzyskim, niejako — prywatnie. Dopiero Polski Klub Artystyczny powziął inicjatywę zorganizowania odczytów, poświęconych kinematografji, wprowadzając tem samem sprawę filmu w orbitę zagadnień artystycznych i pobudzając do wypowiedzenia się na ten temat wszystkich tych, dla których X Muza jest czemś więcej, niż przygodną rozrywką. Ostatni z tych odczytów (zbiorowy) poświęcony był przyszłości polskiego filmu. Prelegenci (prof. T. Pruszkowski, dr. St. Higier i p. Augustynowicz), oświetlając w różny sposób poszczególne momenty, składające się na rozwój kinematografji, zgodzili się na jedno: że polski film naogół stoi jeszcze pod względem artystycznym dość nisko, że produkcja, po większej części, spoczywa w rękach ludzi niepowołanych, że należy zainteresować sztuką i przemysłem filmowym młodzież i artystów i stworzyć odpowiednią idealistyczną atmosferę, gdyż tylko w takiej atmosferze mogą rozwijać się pomyślnie talenty reżyserskie i aktorskie. Wszyscy prelegenci, oraz biorący udział w dyskusji, wyrazili opinię, że warunki rozwoju kinematografji nie są u nas gorsze, niż w innych krajach i że, kierując sprawę na właściwe tory, można wkrótce oczekiwać bardzo pomyślnych rezultatów.

Nie ulega wątpliwości, że optymizm ten jest słuszny, niemniej jednak obrazy polskie, aczkolwiek pod niektórymi względami coraz lepsze, nasuwają nam jeszcze dużo zastrzeżeń i całkowicie uzasadniają wysuwaną też na wspomnianym odczycie konieczność zerwania ze stosowanym dotąd systemem ich oceny. Po większej części pisze się tylko o względnych zaletach obrazów polskich, zaledwie zlekka dotykając braków i błędów, lub wogóle przepływając ponad nimi. Utał się zwyczaj, że rzeczowa krytyka filmów polskich uważana jest za „podrywanie produkcji krajowej”. Producenci filmów tak potrafili to wmówić krytykom, że rzadko kto ma odwagę narazić się na zarzut... braku patriotyzmu. Stąd wytwarza się błędne koło: krytycy ciągle czekają, aż produkcja polska „steżeje” i będzie można



„Wschód słońca” — Janet Gaynor

pisac o niej szczerze, a rezyserzy... robia ciagle te same błędy. Weźmy dla przykadu choęby ostatni polski film p. t. „Przeznaczenie”, debiut młodego rezysera p. J. Stara. Co nam ten obraz mówi o obliczu rezysera? Niestety, niewiele! Szczęśliwym trafem p. Star miał do opracowania temat, odbiegający od innych tematów, uprawianych dotąd przez kinematografię polską; stąd wrażenie pewnej oryginalności, czy świeżości, wrażenie zresztą pozorne, bo z chwilą, gdy akcja, po mało prawdopodobnej, lecz milej eskapadzie w kraj przygód dziecięcych, przenosi się na wydeptany (i jak wydeptany!) gościniec, mający doprowadzić Numę do Pompiljusza — rezyser ogranicza się do fotografowania kolejno następujących po sobie scen według scenariusza, scen, w sensie kinowym nic nie mówiących. Cała wartość, a raczej cały urok tego filmu musi więc oprzeć się na wątłych ramionkach dwóch utalentowanych dziewczyn (Bianca Dodo i Musia Dajches), z których każda, pod odpowiednim kierunkiem, mogłaby dorównać „cudownym dzieciom” amerykańskim: Baby Peggy, a może nawet i samemu Jackie. Ale Jackie był o tyle szczęśliwszy, że jego mistrzem był Chaplin, gdy tymczasem nasze małe „gwiazdki” pozostawione są, właściwie, tylko samym sobie. Są słodkie, jak wszystkie dzieci, a że obydwie są tancerkami, więc są wygimnastykowane i rytmicznie się poruszają, co stanowi tem większy ich urok. Nikt jednak nie starał się wydobyć z nich charakteru. Są dziwnie jednakowe i do siebie podobne (a przecież nie są chyba takimi w życiu?), nie umieją być

dziecięcio wesołe i — jak dzieci zwykle — z łatwością przechodzić z jednego nastroju w drugi. Wogóle wartości, jakie dzieci wnoszą do kina, nie zostały tu zupełnie wyzyskane. A wzorów jest przecież tyle! Choęby cykl dwuaktówek p. n. „Our gang” („Nasza banda”), granych przez same dzieci i wyswietlanych u nas w bieżącym sezonie nad program w wielu kinach.”

Prof. Pruszkowski proponuje słusznie utworzenie muzeum kinematograficznego, w którym młodzi adeptci sztuki filmowej mogliby studjować „klasyczne” wzory mistrzów kinematografji, co, oczywiście, nie może dać talentu temu, kto go nie posiada, ale może przynajmniej rozwinąć dobry smak i poczucie kinowości.

Czem dla filmu jest rezyser, możemy przekonać się na obrazie „Wschód słońca”, który już od długiego szeregu tygodni ściąga tłumy widzów. Nikłą fabułę, którą możnaby streścić w kilku zdaniach, reż. Murnau umie opowiadać obrazami w ciągu dwóch godzin, posługując się zaledwie kilkoma napisami. Nie ulega wątpliwości, że te wszystkie pierwiastki emocjonalne, psychologiczne i wizualne, składające się na ten obraz, musiały przejść przez mózg jednego człowieka, świadomego swych środków i celów, i być tam postokroć przetrawione, zanim z chaosu różnych wizyj wyłonił się taki właśnie kształt, w jakim obraz został utrwalony. Dlatego też kształt ten wydaje nam się nieomylnym, jak nieomylną wydaje nam się forma każdego skończonego dzieła sztuki. Każdy metr taśmy jest tam wypełniony naistotniejszą treścią, każda scena jest koniecznym następstwem poprzedniej i zaczątkiem następnej. Każda postać, każdy gest, każda plama świetlna — technika i poezja, uczucie i humor stapiają się tam w jeden harmonijny akord. Jest to najszcześniejsze połączenie wszystkiego tego, co dała kinematografji Ameryka i Europa, spięte — niby kłamrą — myślą twórczą rezysera. Jeżeli będziemy uważali kino za jakąś wizualną orkiestrę, to musimy uznać w Murnau’ie genialnego twórcę, który najbliższą melodję umie zamienić w symfoniczną partyturę, świetnie zinstrumentowaną i poprowadzoną. Wprawdzie członkowie tej orkiestry — scenarzysta, dekorator, operator i aktorzy — muszą być też niepoślednimi artystami, ale tak już bywa, że sukces najświetniejszych orkiestr przypisuje się zawsze ich — dyrygentowi.

Kto wie, czy właśnie ten „wschód słońca” nie zapowiada nowego wielkiego dnia kinematografji!

Stef. H



## Z TEATRÓW

### TEATR MAŁY

„Powrót do grzechu“ komedia w 3 aktach  
Stefana Kiedrzyńskiego. Reżyserja p. Karola Borowskiego.  
Dekoracje p. Stanisława Śliwińskiego.

Dlaczego to się nazywa „Powrót do grzechu“? Chyba przez ironję. Zapewne przez okulary małomiasteczkowych plotkarek „cnotą“ będzie pseudo-małość młodej kobiety ze starym niedołęgą, a „grzechem“ zdrowy poryw namiętności, na którego podłożu wyrasta prawdziwa miłość, ta, co wszystko przeboli, wszystko przecierpi, wszystko przetrwa i wszystko wybaczy. Triumfem tej miłości kończy się sztuka, jakby na przekór całej akcji, w której wszystkie komiczne grymasy skupione są na postaci Cyrana en miniature, małomiasteczkowego fotografa, spalającego ochotnie całe swoje życie na ołtarzu bezinteresownej, ofiarnej, powiedzmy bez blagi — przesłicznej miłości do uroczej pani doktorowej, od której, jako całą nagrodę, otrzymuje... pożegnalny siostrzany pocałunek.

Tylko, że podczas gdy Rostand bohatera swego ubrał w romantyczne pióropusze, Kiedrzyński uwiłkłał prowincjonalnego marzyciela w sieć sytuacji tak porywająco komicznych, że widz zapomina co chwila, że każde oczko w tej siatce jest rozdarciem miłującego serca ludzkiego i, zamiast mu współczuć, naigrawa się nad niem, jak dziecko nad wbitym na szpilkę motylem, dziecko raczej głupie, niż okrutne. W tej „uczcie szyderców“, jaką nam wyprawił Kiedrzyński, brzmi nuta fałszywa. Wprawdzie moglibyśmy za lekkoduchem Narczyńskim powtórzyć „c'est la vie“ i zadowolnić się tym wytartym, jak zły szeląg, aksjomatem, że prawego człowieka zawsze obiorą do czysta życiowe łobuzy, ale byłoby to piłatowskie umycie rąk, wobec faktu pozornego „moral insanity“, który wywołuje w nas odruch protestu.

W postawie autora wobec swego tworu tkwi pewna dwulicowość. Przypomina nam on tego fetyzystę z rosyjskiej anegdotki, który „ubóstwiał to, co palił i palił to, co ubóstwiał“. Autor ma kult dla prawdziwej miłości, dla tej, którą średniowieczni włosi nazywali „il perfetto amore“, a jednocześnie to bóstwo bezlitośnie wyśmiewa, pognębia, biczuje. Ale z tej krwawej kąpieli szyderstw, z tej beczki szpilek, upstrzonych jaskrawymi szmatkami niewybrednego humoru—słoneczny ptak miłości wylata wprawdzie z połamanymi skrzydłami, ale na tych skrzydłach niema innej plamy, prócz małej koralowej centki po



„Powrót do grzechu“—Węgierko, Malicka, Grabowski

rozdartem sercu. A ten punkcik drobnutki, zagubiony w kalejdoskopie jarmarcznych szkiełek, jest jednak osiłą całej akcji i ostatecznym jej usprawiedliwieniem.

Słusznie napisał jeden z najwybitniejszych krytyków teatralnych, że „Powrót do grzechu“ to „komedia, która ze strachu, aby nie stać się dramatem, staje się farsą.“ I w tem farsowem tempie galopuje bez pamięci, czasem bez logiki. Po doskonałym pierwszym akcie następuje stopniowa „degrengolada“, aby w finale rozplątać się w pospolitym sosie płaskich efektów i naciągniętej brawury, w której szczerość już nikt nie wierzy. Według starej niezawodnej recepty—dwie Numy wychodzą za dwóch Pompiljuszów, zgodnie z zasadą, że najlepszym lekarstwem na miłość jest małżeństwo. Ale dzisiejszej publiczności już się nie bierze na przynętę zaręczynowego obiadku z zupą rakową i kurczętami. Więc brawa, bardzo intensywne po pierwszym akcie, dziwnie osłabły po ostatnim.

Sztuka naogół była obsadzona dobrze. Węgierko miał trudną rolę fotografa Borackiego. Musiał być rzecznym bez tragizmu, śmiesznym bez trywialności. I podbił sobie serca widowni. Stanisławski, jako prowincjonalny konsyljarz o złotem sercu i ptasim mózgu, był naturalny i szczery. Grabowski szarżował niepotrzebnie. Trudno było uwierzyć, żeby młoda, nawet bardzo naiwna kobieta mogła się rozkochać w tej męskiej lafiryndzie. Malicka dała nam jeszcze raz siebie w bardzo mało zmienionem wydaniu. Dla dobra sztuki upominamy się o nowe, poprawne edycje. Galeria typów małomiasteczkowych mogła śmiało figurować w albumie dobrego karykaturzysty.

Sztuka była wyreżyserowana bez zarzutu i prowadzona we właściwem tempie.

S. P. O.



## Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Carlo Zecchi, Stanisława Szymanowska w Filharmonji.  
Wznowienie „Walkirij“ w Operze.

Jeśli chodzi o Filharmonję, nie mamy nic innego do omawiania, jak zmianę solistów, a na to, niewielkie zresztą, urozmaicenie uskarżaliśmy się niejednokrotnie. Solista bowiem wnosi ze sobą najczęściej program znany i ograny, aby orkiestry nie narażać na niespodzianki i ma przez to pole zamknięte na przetrzeni instrumentu; gdy tymczasem każda nowa dyrekcja orkiestry wnosi z sobą świeży powiew, związany nie tylko z nowym, albo mało znanym utworem, ale przede wszystkim z brzmieniem całej orkiestry, która, niczem solowy instrument, nagina się do indywidualności dyrygenta, umie stać się ospałą i gnuśną, aby następnym razem zabłysnąć wszystkimi barwami bogatego kolorytu, zależnie od promieniowania dyrekcji.

Niestety! ta skala porównania, która pociąga za sobą największe zainteresowanie słuchacza, staje się od nas coraz bardziej odległa; jedyną, zatem, atrakcją zostają soliści, i przynajmniej te produkcje otrzymujemy w dobrym gatunku. Na piątkowym koncercie symfonicznym, pod dyrekcją Fitelberga, doborowy i bardzo obfity program wypełnili: Stanisława Szymanowska, chluba pieśniarstwa polskiego, i Carlo Zecchi, pianista włoski, którego występ poprzedzała, zgodna zresztą z prawdą, reklama. Do programu pieśni wchodziły „Miłosne pieśni Hafisa“, Karola Szymanowskiego, które bardzo zyskały na oryginalnej instrumentacji, odśpiewane z dużą finezją i niezrównanym zrozumieniem twórczości brata, przez Stanisławę Szymanowską, która poza tem okazała wysoką maestrię śpiewaczą, wykwiłt i kulturę w interpretacji „Kołysanki“, niepewnie złączonej z nazwiskiem Mozarta, oraz w pieśniach Pedrella i Duparca.

Carlo Zecchi nie miał dużego pola do popisu w c-moll koncercie Beethovena, żywiołowy bowiem temperament artysty nie nagiął się do ogólnie przyjętego stylu wykonania, ale dał interpretację odrębną, nietyle opanowaną pod względem formy i rytmiki, ile utrzymaną wzorowo w wykonaniu biegników fortepianowych i zaokrąglonych ozdorników, które wykazywały wartości rasowego pianisty. Impulsywność brzmienia pojawiła się dopiero w koncercie Es-dur Liszta, który był wstępem triumfalnym dla powodzenia Carla Zecchi w recitalu artysty. Interpretacja Bacha i Beethovena (sonata op. 111) dała słuchaczom możliwość poznania poważnego muzyka, którego sztuka zajaśniała nie tylko nieprzeciętną wirtuozyją pianistyczną,

ale nigdy nieblednącym efektem dała podkład doskonałego zrozumienia stylu i subtelnego wyczucia ducha klasycyzmu. Błyskotliwe efekty utworów Liszta i autorów współczesnych dopełniły miary powodzenia, i oto Carlo Zecchi, w opinji Warszawy, stanął w rzędzie pianistów, przodujących innym nie tylko wtajemniczeniem we wszystkie arkana techniki fortepianowej, ale sztuką, opartą na muzycznej indywidualności artysty, promieniującej na słuchacza z każdej frazy granego utworu. Burzliwe oklaski i entuzjazm publiczności były dowodem najwyższego zainteresowania słuchaczy.

\* \* \*

Na szerokiej przestrzeni czasu ukazują się w naszej operze dramaty, należące do wagnerowskiej tetralogji. Mam tu na myśli „Walkirje“ i „Zygfyryda“, bo cały cykl nie doczekał się jeszcze wystawienia; ale te dwa ostatnie przedstawienia wystarczą, aby zniechęcić do tetralogji widownię i słuchaczy. Celem wznowienia „Walkirij“ była najwidoczniej chęć przekonania sfer decydujących o tem, co się niepodoba publiczności, a zatem „nie idzie.“ Ale to, że „Walkirje“, wznowione w tej postaci, nie mogą mieć powodzenia, stwierdzili tylko niepoprawni entuzjaści muzyki Wagnera. O „Walkirjach“ powiada Oskar Bie, że „płynnością i siłą muzycznego dźwięku, przewyższają wszystkie dramaty Wagnera“. Przepiękne melodje poszczególnych motywów na tle potężnego brzmienia symfonji, poprzedzającej wstępem dramatyczne sceny—pokrywają nużącą fabułę o Nibelungach, w której pojęcia bogów i ludzi nie są dość jasno przeprowadzone. Dlatego główny nacisk, położony na śpiewie dramatycznym, czyni śpiew odpowiedzialnym za całokształt dramatu, nad czem się jednakże nikt w naszej operze długo nie zastanawia, ani się tem bardzo nie przejmuje. Przede wszystkim, nowym błędem wznowionych „Walkirji“ było powierzenie partji Brunhildy (najtrudniejszej ze wszystkich partyj sopranu dramatycznego u Wagnera) p. Jaroszównie, artystce skądinąd niewątpliwie pożytecznej, ale niemogącej się stanowczo utrzymać na koturnach wielkich partyj wagnerowskich. Cienkie i nikłe wysokie tony artystki, oraz brzmienie głosu, nie wytrzymującego trudności partji, obniżyły znacznie w tej obsadzie, na gigantyczną miarę stworzoną, postać śpiewaczą Brunhildy. Błędem z dawnych lat był p. Palewicz, jako Wotan; ale scena jego z Brunhildą dopełniała miary nudnego nad wyraz przedstawienia. Jedynie pierwszy akt, dzięki Zygmunтови i Zyglindzie, a więc p. Dygasowi i p. Polińskiej-Lewickiej, mającym poczucie odpowiedzialności kreowanych partyj wagnerowskich do których oboje byli doskonale usposobieni — nie pognębiał muzycznego słuchacza.

P. L.





## ZAPUSTY

Głównym momentem karnawałowym na wsi są ostatnie trzy dni. Ludzie porzucają zajęcia, by razem radośnie zakończyć okres wesela i beztronski.

Niedziela, poniedziałek i wtorek przed popielcem otrzymały słusznie nazwę dni „szalonych” lub „kusių”. Formy i zwyczaje codziennego życia idą w zapomnienie. Każdego ogarnia chęć zabawy:—starszych przy kieliszku i pogawędce, młodych — wśród tańca i zabawy. Szalone dni! — i kuse zarazem, bo słońce na krótko wschodzi nad ziemię.

Podczas tych dni na wsi gromady chłopców przebierają się za zwierzęta, np. kozy, niedźwiedzie, woły, tak zwane turonie, konie, bociany, lub też za cyganów, żydów, dziadów, pijaków. Podobieństwo do zwierząt osiągają w bardzo prosty sposób: Na głowy kładą maski, które szyją ze skóry, malują je, nadając charakterystyczne cechy; paszczę robią zazwyczaj z dwóch deseczek, których dolną, wyklejoną czerwonym sukmem, ma przedstawiać język; pociągając za sznurek tejże deseczki, wywołują kłapanie z górną. Całą postać parobczaka okrywają derą lub kozuchem przewróconym do góry włosiem.

Rozweselona gromada zachodzi do wszystkich chat. Cygan prowadzi niedźwiedzia, który na dany znak zaczyna wyprawiać przeróżne sztuki, udając zwierzę. A więc chodzi na dwóch łapach, tańczy, przewraca się. Inne maskary przedrzeźniają się z nim, każdy na swój sposób zaroczy, zawyje. Turoń kłapie paszczką, skądś nagle wyskoczy zwinny chłopak, przebrany za diabła, i zacznie płać figle: zaczepi dziewczyny, potrąci starszych, poprzewraca naczynia, sprzęty. Zjawi się też jakaś maskara, której ubioru niesposób zrozumieć, i zacznie mu w zbytkach pomagać. Pisk dziewcząt, okrzyki chłopaków giną w ogólnej wrzawie i śmiechu,

Po ulicach wsi przebiegają coraz inne rozbawione grupy. Jedna obwozi „kura”: jest to drewniana figurka, przymocowana do dwóch kół z dyszlą, przybranych bibułkami, choiną. Niekiedy zamiast kura są dwie lalki, ustawione w ten sposób, że ruch kół wprowadza je w obrót. Przebrane za chłopca i dziewczynę, robią wrażenie tańczącej pary.

Inna grupa składa się z samych kobiet, ponieważ w ciągu Zapust odbywa się wkupywanie tegorocznych mężatek do grona starszych. Kobiety zamężne ubierają półwozie w płachty, zieleni i zajeżdżają do młodych mężatek; bez względu na ubranie, a raczej nieubranie, lub zajęcie w domu, porywają je i wśród swawoli wiozą do karczmy; tam tańcząc, chcą je wraz z wozem wyrzucić, od czego muszą się okupić wódką.

Jeszcze jeden ciekawy pochód odbywa się po wsiach w te dni, wolne, zda się, od codziennych trosk i kłopotów. Jest to trawienie grajka. Zmówiona gromada mło-

dzieży wpada do karczmy, porywa grajka i przemocą wsadza go na taczkę lub sanki, które popychane ze wszystkich stron, posuwają się szybko. Grajek, rzucony po wybojach drogi z boku na bok, przygrywa niekiedy, a wokół niego rozochociona gromada wtóruje mu okrzykami. Przejechawszy całą wieś, przybywają na jej kraniec, gdzie wyrzucają grajka na pole i rozbijają o niego garnek z popiołem. Jednocześnie wypuszczają kota, który ma podobno oznaczać uchodzącą duszę z rzekomo zabitego grajka. Niekiedy, zamiast grajka, owijają parobka w grochowiny i prowadzą do rzeki lub stawu, gdzie następuje topienie, czyli poprostu zrzucenie grochowin do wody. Bywa też, że zapalają je, ogień szybko posuwa się i zdaje się ogarniać chłopaka, ale on z łatwością się wyswobadza. Czasem uwijają bałwana ze słomy, przebierają go w chłopską sukmanę i wieszają na gałęzi na drzewie. Tłum gromadzi się wkoło, wysmiewa się z niego, przedrzeźnia, jak żywą osobę. Znowu powód do figlów i dowcipów.

Wieczorami, a nierzadko już rano, cała rozbawiona wieś skupia się w karczmie. Grajkowie grają przez trzy dni niemal bez przerwy. Chłopcy i dziewczęta dokuczają sobie wzajemnie, że w tym karnawale nie wstąpili w związki małżeńskie.

Po wielu docinkach następuje zgoda i zaczynają się tańce. Ustawiają w izbie beczkę, przykrytą płótnem, na której stoi talerz na datki dla muzyki. Obok talerza znajduje się wystrugany z drzewa koziołek. Dziewczęta, idące do tańca, są obowiązane rzucić pod koziołka jakiś pieniądz dla grajka; stąd datek ten, zarówno jak taniec, otrzymał nazwę „Podkoziołka”. Czasem grajek sprzedaje dziewczyny chłopcom do tańca. Chcąc je zachęcić do hojniejszego Podkoziołka, śpiewają:

A trzeba dać podkoziołka — trzeba dać,  
Umiałś ci całki roczek — ubadać,  
A trzeba dać podkoziołka — trzeba dać,  
Mogłaś ci ty całki roczek tańcować.

Sprytna dziewczyna przywiązuje pieniążek na nitce do fartuszka, tak, że mimo rzucenia na talerz, wraca on do właścicielki. Sowiec jednak okupuje wykrycie tego, bo musi postawić wódkę.

Starsze kobiety też tańczą, a nawet skaczą przez pień, w tem mniemaniu, że im która wyżej skoczy, tem wyższy będzie miała len. Chłopi robią to dla zapewnienia sobie wzrostu zboża. Niekiedy skaczą przez rozpalone ognisko, które kilkakrotnie zapalają i gaszą. Jeden z wesołych i dowcipnych chłopców przebiera się w koszulę i, niby ksiądz w komży, prawi kazanie, pełne uciesznych napomnień, zastrzeżeń i t. d.

Wieczorem przed popielcem chłop, przebrany w kozuch futrem na wierzch, w wysokiej czapce tekturej, przybranej wstążkami, w ręku z toporkiem i popiołem,—tak zwany Zapust,—obchodzi wieś i zbiera dary. przed północą wchodzi do chaty, posypuje

wszystkim głowy popiołem, wywraca kieliszki z wódką i również je popiołem zasypuje, czasem i oczy zaproszy. Wtedy wnoszą śledzia i żur, pierwszą postną kolację. Jest to oznaka końca zabaw, zaczyna ją więc śpiewać:

Chtóż się to tam na przypiecku krząta?  
Wstępna środa żurowi uprzęta.  
Wstępna środa ustępuje,  
Pani matka żur gotuje.  
A pan ojciec siedzi w dziurze,  
A witajże, mości żurzel

Zapusty są w ogólnem mniemaniu niejako świętem zabawy. Zwłaszcza na wsi maskary, przebiegające od chaty do chaty, stwarzają ogólny specjalnie wesoły nastrój. Jeśli się jednak przyjrzymy wszelkim zwyczajom zapustnym na wsi, to oprócz chęci do zabawy, dostrzeżemy wiele przejawów, które z mniejszem lub większem prawdopodobieństwem można wyprowadzić z obrzędowości i światopoglądu ludu. Punktem wyjścia dla oświetlenia Zapust jest zdanie sobie sprawy z czasu, w którym one przypadają. Zima, o ile jeszcze nie odeszła, to w każdym razie ma się ku końcowi. Można przypuszczać, że tracenie bałwana jest odbiciem dawnych, zaginionych już zwyczajów żegnania, niejako wypędzania zimy. W kaliskiem w ostatni wtorek chłopcy chodzą po wsi z drzewkiem zielonem. Możliwe, że dawniej było to w powszechnem użyciu i łączyło się z okresem zbliżającej się wiosny; potwierdza to zwyczaj skakania, uprawiany przez baby i chłopów, aby zasiewy, które wkrótce nastąpią, wydały dobry plon. W związku z tym okresem jest przebieranie się w maski zwierzęce. Lud w obrzędowości swej bardzo często opiera się na wierzeniu, że inscenizacja pewnej czynności stwarza związek między osobami występującymi. Dlatego też, otaczając się wyobrażeniami zwierząt, wierzy, że zapewnia sobie ich stałą obecność i pomnażanie w gospodarstwie. W wiosennym okresie, gdy dobytek wieśniaczy powiększa się, ma to ogromne znaczenie. Nie można pominąć faktu, który doniosłą mógł odegrać rolę w maskarach zapustnych, że u wielu ludów zwierzęta były, a w części i są jeszcze, otaczane specjalną czcią. Niektóre były upostaciowaniem bóstwa, inne były mu obiatowane, co też zmuszało do zaliczenia ich w poczet stworzeń wyróżnianych. Jest pewne przypuszczenie, że tur, z którym chodzą obecnie podczas Zapust, w mitologii słowiańskiej był emblematem słońca i na cześć jego obchodzono święto, zwane Turzycami.

W Zapustach spotykamy i późniejsze pierwiastki chrześcijańskie: Zakończenie okresu zabaw przed postem, wkupywanie się młodych mężatek do grona starszych, posypywanie popiołem na znak pokuty i przypomnienia znikomości człowieka:

Z prochu-s powstał  
I w proch się obrócił

Janina Tuwanówna.

## EKONOMJA DOMOWA NA KONGRESIE MIĘDZYNARODOWYM

Olbrzymi kongres międzynarodowy ekonomji domowej zgromadził w listopadzie, w Rzymie, przedstawicieli 34 państw.

Czyż to nie dowód zainteresowania, jakie dzisiaj wzbudza wszędzie sprawa organizacji domu i zaopatrzenia rodziny, sprawa gruntownego przygotowania kobiety do jej zadania kierowniczkii rozwoju ludzkości i szafarki więcej, niż połowy, a ściśle mówiąc—64% produkcji całego świata?

Wszakże to dla domu, dla pokrycia potrzeb jego mieszkańców istnieje rolnictwo; dla domu rozwija się przemysł i handel; dla domu przebiegają świat cały, bez chwili przerwy, pociągi, wiozące wszelkie towary; dla domu łamią sobie głowy rządy — układając traktaty handlowe; a jednocześnie większość, i to bardzo znaczna większość kobiet—bez uświadomienia sobie doniosłości wielkiego zadania—zarządza temi dobrami, wytworzonymi olbrzymim nakładem pracy i nauki, wkładając nieraz w ten zarząd niemało dobrej woli, ale rzadko bardzo — większy zasób umiejętności i przygotowania zawodowego.

W ostatnich latach ubiegłego stulecia odezwał się w ruchu feministycznym silny bunt kobiety przeciwko zacieśnieniu jej zadań do granic zarządu domem. Ruch ten przyniósł kobiecie polskiej wielkie zdobycze umysłowe, rozszerzył jej horyzonty, wywołał w niej pragnienie nauki i pracy samodzielnej.

To dążenie do wyzwolenia umysłowego stało się poniekąd przygotowaniem do obecnego ruchu, który, ukazując kobiecie jej największe i najpiękniejsze zadanie—pragnie je uszlachetnić, udoskonalić, ale bynajmniej nie żąda, by się kobieta w niem zasklepiła.

Czasy powojenne są szczególnie właściwe do przewartościowania pojęć o różnych organizacjach. Po chwilowem rozbujaniam życia indywidualnego kobiety musi przyjść reakcja, a z nią budząca się tęsknota do udoskonalenia, upiększenia i wzmocnienia życia domowego—życia rodziny.

Ta tęsknota może prędzej zacząć się akcentować wśród mężczyzn, niż wśród kobiet, których ogół, znudzony szarzyzną pozbawionych wszelkiego komfortu ognisk domowych, nie umiał znaleźć wyjścia z pracy nużącej i w swej bezorganizacji tak mało produkcyjnej. Nie umiały rozwiązać kwestji szkoły gospodarstwa domowego, które u nas przedewszystkiem powstawały na wsi i dążyły raczej do podniesienia produkcji gospodarstwa domowego, niż do ułatwienia i udoskonalenia jej pracy domowej. Dopiero ostatnich parę lat wprowadziło pracę na tory racjonalne, bo stało się jasnym, że żaden najwspanialszy hotel nie zastąpi ciepła gniazda rodzinnego; żadna kuchnia restauracyjna nie da tak zdrowego i nieprzykrzącego się posiłku, jak dobra kuchnia domowa; żadne schronisko,

nawet najumiejętniej zorganizowane, nie zastąpi dziecku matki—że więc tę matkę, tę karmicielkę, tę kapłankę domu rodzinnego trzeba znowu podnieść na odpowiednie stanowisko, dać jej ku temu gruntowne przygotowanie, ułatwić jej zadanie i, nie zacieśniając jej pracy, umożliwić poza robotą domową, wykonaną łatwiej, sprawniej i szybciej—jeszcze rozwój i wykorzystanie jej najpiękniejszych władz duszy i umysłu, według jej własnej woli.

Taką głęboką treść ukrywał pod skromną nazwą kongresu rzymskiego; ta treść sprawiła, że zgromadził około 4.000 uczestników i miał do rozpatrzenia 157 referatów.

Nic dziwnego, że w tych warunkach stało się to, co się musiało stać: każdy z uczestników zabrał skróty referatów do przestudjowania w domu, a na kongresie cała uwaga zwrócona została przedewszystkiem w jednym, najbardziej aktualnym, kierunku: przystosowania organizacji domu do potrzeb chwili, usprawnienia pracy domowej i ułatwienia jej.

Ponieważ uczestniczkami kongresu były jedynie tylko kobiety z inteligencji, więc nic dziwnego, że właśnie ich zadania były przedewszystkiem omawiane i one przyćmiły wszystkie inne tematy.

Po tym wstępie, niezbędnym dla oświecenia warunków, w jakich kongres został zwołany, mogą już przystąpić do opowiedzenia jego przebiegu.

A więc, przedewszystkiem, wysoki patronaż królowej Heleny, której portret, o marzących czarnych oczach i olbrzymich, tak bardzo niewspółczesnych włosach, uśmiecha się smutno do nas z pierwszej karty programu — była to jednak jedyna sposobność ujrzenia czarującej monarchini, która się na kongresie nie ukazała z powodu żałoby, i jakoś nikomu nie przyszło na myśl się o to upomnieć. Większe wzburzenie wywołała nieobecność Mussoliniego, honorowego prezydenta kongresu. Zapewne dzięki temu stanowisku, zaproszenia na otwarcie i zamknięcie kongresu, które się odbyły w bogatej sali Kapitolu, rozesłane zostały nie przez komitet wystawy, ani przez jego wysoką protektorkę, a ni przez Zarząd miasta, w którego siedzibie obradowaliśmy — ale przez sekretariat partii faszystów; udając się zaś na zebrania, trzeba było się legitymować temi zaproszeniami „ściśle osobistemi“, przed trzema kordonami funkcjonariuszy w czarnych koszulach. I to jednak nie zapewniło nam widoku znakomitego „Duce“, którego włoski oczekiwali z podnieceniem, dowodzącem, czem ten człowiek stał się dla nich; tłumaczą to również słowa zastępującego go sekretarza generalnego partii, Augusta Turati, zwrócone do uczestników kongresu izywające ich do „badania okiem radosnem i bacznem nie tylko śladów szlachetnej przeszłości wiecznego miasta, ale i terażniejszości, stworzonej przez gorące pragnienie narodu i silną wolę jednego człowieka.“

Po zwykłych wstępnych formalnościach rozpoczęły się prace sekcji, z których pierwsza obejmo-

wała wykształcenie gospodarcze z punktu widzenia pedagogicznego i socjalnego; druga: technikę nauczania; trzecia: naukową organizację gospodarstwa i czwarta: wpływ zajęć gospodarczych na charakter kobiety, higienę i estetykę tych zajęć.

Niestety! błędy, popełnione w organizacji kongresu, uniemożliwiły prawie zupełnie narady dwóch pierwszych sekcji, których zebrania odbyły się w gmachu wystawowym w salach przechodnich, pozbawionych jakiegokolwiek zamknięcia i stanowiących jedynie przejście pomiędzy dwiema stronami gmachu wystawowego, przez które w czasie najciekawszych przemówień defilowali robotnicy z drabinami i kubłami farby, wśród niewypowiedzianego stuku i hałasu, nieuniknionego w chwili gorączkowej pracy nad wykończeniem wystawy.

(d. c. n.)

M. Karczewska.



## TARCZYKI

Do szkodników, z którymi w zimie w sadach owocowych i ogrodach ozdobnych można prowadzić skuteczną walkę, należą tarczki—owady, pokrewne mszycom. Samice tych owadów wyglądem bardzo się różnią od samców. Ruchliwe samce są zaopatrzone w jedną parę skrzydeł, słabo żyłkowanych; samice—nieruchome, bezskrzydłe—przytwierdzone są do kory drzew. Organa gębowe samców są w stanie zaniku, i dlatego długość życia tych owadów jest bardzo ograniczona. U samic organa gębowe mają kształt ryjkowatego narządu ssącego, którym nakłuwają korę i ssą krążące w drzewie soki odżywcze. Ze skóry samic, zasobnej w gruczoły, wydziela się substancja woskowata, z której powstaje tarcza, przykrywająca ciało owadu i wraz z owadem się rozrastająca. Na podstawie kształtu tarczek rozróżniamy kilka gatunków tych owadów: tarcze w kształcie przecinka tworzą gatunek *Mytilaspis pomorum*, pasorzytujący na jabłoniach i gruszach; tarcze okrągłe, niewielkie, znamionują gatunek *Diaspis fallax*, właściwy grusom i śliwom; podobne tarczki są charakterystyczne dla gatunku *Aspidiotus ostraeformis*, spotykanego przeważnie na jabłoniach, i t. d. Samice w lecie, po zapłodnieniu, a nawet często bez zapłodnienia, składają jajeczka, i, ginąc same, pokrywają je swem ciałem wraz z tarczką. Do tarczki są również zaliczane owady z rodzaju *Lecanium*, nie mające właściwej tarczki, lecz pokryte twardą skórą, którą, niby wypukłą skorupą, pokrywają jajeczka. Do tych ostatnich należy gatunek *Lecanium persicae*, pasorzyt brzoskwiń, *Lecanium robiniarum*, pasorzyt akacji, pasorzyty śliw, orzechów i t. p.

Z jajeczek tarczyców powstają gąsieniczki, opatrzone trzema parami nówek. Gąsieniczki rozchodzą się po drzewie i przytwierdzają do kory. Następnie z męskich gąsieniczek rozwijają się dwuskrzydłe motyle, u żeńskich zaś następuje zanik nówek, oczu, a natomiast silny rozwój części przyustnych i całego ciała. Samice dojrzałe składają jajeczka, które zimą zupełnie bezpiecznie mogą trwać pod tarczką macierzystą.

Prócz wyżej wymienionych roślin — tarczyki nawiedzają winorośl, morwę, a bardzo często — rośliny szklarniowe i pokojowe.

Jednym z najpospolitszych jest oleandrowiec, występujący na łodygach i liściach oleandra.

Jeżeli na roślinie jest tarczyców niewiele — szkody, wyrządzone przez te owady, są nieznaczne; rośliny jednak, silnie przez tarczyki opadnięte, zwykle usychają.

Najskuteczniejsza metoda zwalczania czerwców polega na usuwaniu jajeczek w zimie. Pnie i gałęzie drzew, opadniętych przez tarczyki, skrobie się tępym nożem, sierpem, lub skrobaczką, poczem miejsca oskrobane należy wysmarować conajmniej wapnem, aby zniszczyć pozostałe zarodki owadów.

Przeciwno tarczycóm bywa zalecany również do smarowania pni i gałęzi rozcżyn, składający się z 400 gr. nieoczyszczonego kwasu karbolowego i 400 gr. szarego mydła na 6 l. wody.

Środki przytoczone służą do bezpośredniej walki ze szkodnikami. Droga pośrednia polega na utrzymywaniu drzew w stanie silnym i zdrowym, aby mogły same zwalczać pasorzyty, które nawiedzają tylko okazy słabe i chore, albo rozwijające się w miejscu osłoniętem, gdzie wiatr i słońce mają dostęp utrudniony. Umiejętny dobór odmian do warunków miejscowych, racjonalne nawożenie, prawidłowe pielęgnowanie korony, aby każda gałąź miała dostateczną ilość światła i powietrza, — skutecznie zapobiegają rozplenianiu się tarczyców.

Delikatne rośliny szklarniowe i pokojowe oczyszcza się z tarczyców przy pomocy szczoteczki, a następnie obmywa się je wodą z nieznacznym dodatkiem mydła szarego, albo lepiej krajowego preparatu: Aphimort. Czystość, światło i swobodny dostęp powietrza, umiarkowane polewanie i troskliwość o bujny rozwój rośliny — i tu przeciwdziałają masowemu występowaniu tarczyców.

Stan. Schönfeld.

## HISTORIA PĄCZKA KARNAWAŁOWEGO

W tak zwanych dobrych, starych czasach sztuka kulinarna niebardzo była rozwinięta. Żywność składała się przeważnie z mięs, bardzo prymitywnie przyrządzanych, ze słoniny, kapusty lub buraków, chleba żytniego, placków owsianych i t. p. Mąki białej nie był wstanie używać człowiek średnio zamożny. Ponieważ w środkowej Europie pszenicy nie uprawiano, mąka biała była rzadkością, a pieczywo, z niej sporządzone, ukazywało się tylko na stołach wielkich panów, w postaci słodkich placków, z mąki i miodu wypiekanych. Cukier sprzedawany był prawie na wagę złota, gdyż sprowadzono go aż z Indyj i to w bardzo nieapetycznym stanie: jako syrop, z trzciny cukrowej wydobywany. Nic więc dziwnego, że ciastka były wprawdzie bardzo pożądane, ale nie każdy mógł sobie na nie pozwolić.

Dopiero wędrowni pasztecznicy włoscy rozposzechnili w Europie ciastka, zasługujące na to miano; najlepiej naśladowali, a wkrótce prześcignęli ich w kunszcie wypiekania ciastek wiedeńscy, słynący od dawnych czasów ze swej dobrej kuchni.

Wróćmy jednak do pączków, których początek zlewa się z pamiętną datą historyczną, tj. z rokiem 1683: ni mniej ni więcej, tylko z odsieczą Wiednia, z którą się też łączy powstanie pierwszej kawiarni.

Wiedeńscy opowiadają sobie, że pączki, zwane po niemiecku „Krapfen“, wypiekała pierwsza Cecylja Krapf, wdowa, której mąż padł podczas oblężenia Wiednia przez Turków.

Szukając zarobku, założyła ona sobie na peryferjach miasta małą pasztecziarnię, jak się to wówczas nazywało — rodzaj małej cukierenki — w której, wobec kupujących, wypiekała na maśle małe, okrągłe ciasteczka, sprzedawane następnie po grajcarze. Ciasteczka te zyskały sobie wielki rozgłos u wiedeńczyków, już wtedy, zdaje się, wielkich smakoszy; to też wędrowali całymi gromadami za miasto, aby się u pięknej Cesi raczyć „Krapfinami“, jak wówczas te smażone ciasteczka nazywano, urabiając nazwę od nazwiska ich twórczyni.

Ciastka te niewiele miały wspólnego z leciutkiemi tworamii dzisiejszych czasów; mimo wszystko,

MODNE ROBOTY SZYDEŁKOWE: SZALE, JUMPERY i t. p. WYKONA KAŻDY, KTO KUPI KSIAŻECZKĘ

p. t. „100 ŚCIEGÓW SZYDEŁKOWYCH“  
I ICH ZASTOSOWANIE

== CZĘŚĆ I: ŚCIEGI ZASADNICZE I OZDOBNE ==

CENA 1 ZŁ. 50 GR.

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Warszawa, Krakowskie - Przedmieście 99.

Konto P. K. O. 13.555.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

smakowały one wiedeńczykom, i twórczyni ich wzbogaciła się, zakładając w różnych częściach miasta specjalne wypiekarnie pączków.

Jak fama niesie, dopiero w 30 lat później pasztecziarka ta spróbowała napełniać swe ciasteczka cukrowanymi owocami, a gdy się jej to nadspodziewanie udało, posłała półmisek tych, bardzo już wtedy popularnych, „Krapfinów“ na dwór jednego z książąt austriackich, gdzie się właśnie odbywał bal karnawałowy.

Ciastka zyskały pełne uznanie i stały się odtąd uprzywilejowanym przysmakiem karnawałowym nie tylko w Wiedniu, ale i daleko poza jego granicami, można śmiało powiedzieć—w całym świecie.

Jak bardzo lubiane były pączki już dawno, świadczy fakt, że córka Marji-Teresy, nieszczęśliwa Marja-Antonina, wyjeżdżając do Francji, zabrała wraz z dworem swoim specjalistę pączkarza do wyrabiania pączków, których wówczas jeszcze we Francji nie znano.

W ten i temu podobny sposób rozpowszechniło się po świecie wypiekanie pączków. Nie można jednak powiedzieć, aby ówczesne twory, jak już wyżej wspomniałam, podobne były do naszych dzisiejszych pączków, i wątpię bardzo, czy znalazłyby u nas amatorów.

Każdy kraj wyrabiał je na swój sposób, to też mamy setki odmian pączków. Od delikatnych, jasnobronzowych, z białym pierścieniem wokoło, do pączków niemieckich, o których mówią żartownisie, że trzeba je naprzód przetrząść przez trzy kamienice, aż tak zmiękną, że się dadzą ugryźć.

Prawdziwy pączek musi być tak lekki, aby ullał z półmiska z powodu przeciągu, kiedy się drzwi otworzy. Nie znam wprawdzie gospodyni, którejby się podobny ideał pączka udało, nie wyklucza to jednak istnienia tego ideału.

*Szyc-Korska.*

## PODZIAŁ WIEPRZA

Przy kłuciu wieprza należy całą krew starannie zebrać w podstawione naczynie i wynieść na zimno. Dwa są sposoby powierzchownego czyszczenia skóry wieprza. Pierwszy—nasucho—polega na opalaniu sierści wieprza zapalonemi wiechetkami słomy, przyczem przed zaczęciem opalania wyrzywa się ręką najdłuższe i najtwardsze włosy z karku i grzbietu: jest to tak zwana szczecina, wysoko ceniona w handlu i mająca szerokie zastosowanie w szewctwie, siodlarstwie itp. Po osmaleniu sierści, skrobie się skórę nożem i nakoniec ociera szmatkami, lub wiechetkami słomy, maczanymi we wrzątku i wyżętymi do sucha.

To jest sposób, stosowany na Kresach Wschodnich: daje on kruchość skórcie szynki i słoniny, które tam przechowują tylko wędzone.

Drugi sposób oprawiania—na mokro—polega na oparzeniu wieprza wrzątkiem, poczem sierść łatwo

schodzi i, po wyrwaniu szczeciny, daje się łatwo zeskrobać nożem. Skóra tak oprawionej sztuki jest biała i ładna, kłopot przy oprawianiu mniejszy, — znawcy twierdzą jednak, że wędliny z parzonych wieprzy są mniej trwałe. W dużych miastach i na wsiach w byłej Kongresówce używają wyłącznie drugiego sposobu oczyszczania wieprzy. Świnie proste, krajowe, o długim ryju, są przeważnie gęściej porośnięte, mają sierść długą, dużo szczeciny i nie dają się tak łatwo oprawić, jak świnie rasowe, przeważnie angielskie, lub mieszane z angielskimi. Te drugie mają sierść cienką i delikatną, którą zupełnie łatwo można usunąć. Gdyby jednak koło uszu, goleni i t. p. nieco sierści pozostało, należy ją koniecznie opalić, chociażby szmatką, umoczoną w spirytusie denaturowanym, i dokładnie oskrobać nożem. Nic niema bardziej nieapetycznego, niż włoski i szczecinki, znajduwane w salcesonie, na który zwykle się używa wszelkie okrawki skóry.

Oprawionego wieprza kładzie się grzbietem na szeroką, niewysoką ławę. Oстрыm nożem wycina się podbrzusze, uważając, aby nie przeciąć przytem wewnętrznego sadła, pokrywającego kiszki. Po odjęciu podbrzusza, również ostrożnie przecina się sadło, nie dotykając kiszki. Sadło odwija się na dwie strony i prędko, zręcznym ruchem, wyrzuca się kiszki do ceberka lub balji, napełnionej do połowy śniegiem lub wodą z lodem i postawionej w końcu ławy Kiszki natychmiast się pokrywa grubą warstwą śniegu, lub drobno rąbanego lodu, i wynosi z ceberkiem na chłód. Jeżeli zaniedbamy ostrożności ostudzenia natychmiast kiszki, będą one niemocne i niezdatne do użytku. Po usunięciu kiszki, wydziera się ostrożnie ręką, mało dopomagając nożem, serce, płuca, wątrobę, śledzionę i nerki wieprza; natychmiast ostrożnie, aby go nie rozgnieść, odbiera się woreczek żółciowy i żółć zlewa do buteleczki. Jest ona uważana po wsiach za środek leczniczy w odmrożeniach. Jednocześnie z wyjęciem wnętrzości odcina się cztery nogi wieprza według stawów i głowę u nasady szyi. Po wyjęciu wnętrzości i ucięciu głowy znajduje się w wieprzu jeszcze dużo krwi, którą należy zebrać i dołączyć do otrzymanej przy kłuciu. Wnętrze wieprza wyciera się do sucha wilgotną, czystą szmatką, poczem odejmuje się z obu stron sadło. Sadło, dopóki ciepłe, a co za tem idzie, giętkie, zwija się szczelnie w rulony i wynosi też na chłód; poczem przystępujemy do ćwiartowania, czyli właściwego podziału wieprza.

Naprzód nadrabujemy ostrożnie kości, łączące szynki z kością grzbietową. Dalej są dwa sposoby podziału. Pierwszy—dla sztuk mało ukarmionych i niedużych, tak zwanych kabanków, przeznaczonych na mięso. Tutaj naprzód się oddziela szynki i łopatki, potem boczki z obu stron wraz z żeberkami, które tak, w całości, idą na solenie, wędzenie, lub na świeży użytek. Potem ostrożnie się oddziela słoninę

z karku i grzbietu od tak zwanego schabu, czyli po-  
 lędwic na kościach. Schab ten wzdłuż części grzbie-  
 towej przerabuje się na połowę; z części schabu, po-  
 łożonego około szyi i karku, wyjmuje się jeszcze du-  
 żą kość środkową, tak zwany pochrzept, który daje  
 wyśmienity smak na zupy. Słoninę z karku i grzbie-  
 tu rozkrawa się na trzy kawałki: — jeden najgrubszy,  
 z karku, dający najlepszą, najtwardszą i najgrubszą  
 słoninę, i dwa długie, wąskie — z nad schabów. Dol-  
 ne, małe polędwiczki, położone pod schabem,  
 płaty miękkiego mięsa, znajdujące się pomiędzy że-  
 brami, a sadłem, wszelkie skrawki i obrzynki oraz  
 otrzymane przy zaokrąglaniu, nadawaniu kształtu  
 szynkom i łopatom — używamy na kielbasy świe-  
 że lub wędzone. Tak się dzieli sztuki nieduże.

(d. n)

*Pani Elżbieta.*

## CENTRALNE OGRZEWANIE WODNE POSZCZEGÓLNYCH MIESZKAŃ

Dążeniem wieku dzisiejszego jest osiągnięcie mo-  
 żliwie największych wygod przy najmniejszym nakła-  
 dzie pracy. Spostrzeżenie to jest słuszne w odnie-  
 sieniu do życia całych społeczeństw, lecz tem słusz-  
 niejsze w stosunku do gospodarstwa domowego, które  
 dziś wyglądać musi zupełnie inaczej, niż przed wie-  
 kami.

Dzisiejsza kobieta, jeśli nawet nie pracuje we-  
 spół z mężem na utrzymanie rodziny, ma znacznie  
 mniej środków materialnych, musi więc z koniecz-  
 ności stosować te wszystkie zdobycze i udogodnienia,  
 jakie w zakresie gospodarstwa w domu daje nam  
 technika.

Jednym z największych kłopotów naszych pań  
 jest, zimą zwłaszcza, należyte ogrzanie mieszkań. Ileż  
 to zmartwień jest z tego powodu, że przy roznosze-  
 niu po całym domu węgla niszczy się posadzka, że  
 brudzą się kosztowne nieraz firanki! Ileż trudu i kło-  
 potu dla służącej, której przybywa zajęć! — Ile za to  
 radości tam, gdzie ogrzewanie centralne wybawia pa-  
 nią domu od tych kłopotów i szkód!

Lecz wszystko ma swoje „ale”... Mieszkańcy do-  
 mów, zaopatrzonych w centralne ogrzewanie o ogólnym  
 kotle, pamiętają jeszcze okropne czasy Wielkiej  
 Wojny, kiedy marzli w swych mieszkaniach. Żywo  
 stają im w pamięci zatargi z właścicielami, czy admi-  
 nistratorami domów na tle rozrachunków, czy to za  
 opał, spalony w kotłach ogólnych dla całego domu,  
 czy też za naprawę centralnego ogrzewania.

Dziś już te zagadnienia nie istnieją: dziś wynal-  
 eziono kotły, umożliwiające zastosowanie centralnego  
 ogrzewania w małych domkach, poszczególnych mie-  
 szkaniach, sklepach, garażach i t. p. Takie centralne  
 ogrzewanie indywidualne uniezależnia zupełnie loka-  
 tora i jest dziś tak dostępne dla każdego, jak gaz,  
 elektryczność, wodociąg, lub kanalizacja.

Mały kociołek, który dzięki swemu estetycznemu  
 wyglądowi może być umieszczony w dowolnej ubi-

kacji danego mieszkania, ma umieszczone w ściankach  
 swych przewody, w których krąży woda, ogrzewana  
 przez płomień paleniska. Przez przewody rurowe roz-  
 chodzi się ona po grzejnikach, umieszczonych w po-  
 kojach, oddaje im swoje ciepło, a ostudzona, wraca  
 do kociołka, gdzie znowu się nagrzewa i odbywa  
 pierwotną drogę.

Kociołek zajmuje około  $\frac{1}{6}$  części przestrzeni  
 pieca kaflowego, zaopatrzone jest w termometr i ar-  
 mature, umożliwiającą regulowanie spalania. Grzejniki  
 również, dzięki zaworom, dają się pojedynczo regulo-  
 wać, lub nawet odłączyć.

Cenne zalety kociołków i grzejników, wyżej opi-  
 sanych, wybitnie uwidoczniają się w porównaniu z ogrze-  
 waniem mieszkań zapomocą pieców kaflowych.

Przeprowadzone przez fachowców badania nad  
 rentownością mieszkaniowego ogrzewania centralnego  
 wykazały — nawet przy niefachowej obsłudze opisanych  
 kociołków — zmniejszone zużycie paliwa we wszystkich  
 wypadkach o 40—50% w stosunku do zużycia w pie-  
 cach kaflowych, pracujących w tychże warunkach.  
 Jeżeli dodamy koszt drzewa, niezbędnego dla rozpa-  
 lania pieców, oraz kosztu naprawy — musimy dojść do  
 wniosku, że pod względem ekonomicznym mieszka-  
 niowe ogrzewanie centralne jest nieporównanie ko-  
 rzystniejsze od ogrzewania piecowego.

Mieszkaniowe ogrzewanie wodne centralne usu-  
 wa niebezpieczeństwo pożaru, nie wymaga corocznych  
 przeróbek, czyszczenia kominów i pieców, czyni zgoła  
 zbędnym rozpalenie kilku pieców, wynoszenie popiołu  
 i sadzy, a ze względu na trwałość instalacji nie wymaga  
 przez kilkanaście lat naprawy.

Rodzaj ogrzewania mieszkania w wysokim stop-  
 niu oddziaływa i na zdrowie mieszkańców. Zauwa-  
 żono, że przeziębienia są mało znane posiadaczom  
 centralnego ogrzewania. Z punktu widzenia higieny,  
 więc, centralne ogrzewanie mówi samo za siebie. Mo-  
 żna je porównać z elektrycznym oświetleniem, któ-  
 rego wyższość w stosunku do lamp naftowych, czy  
 gazowych, wszystkim jest znana. Piece kaflowe czę-  
 sto dymią, wydają czad i w rozmaity sposób zanie-  
 czyszczają mieszkanie.

Pozatem mieszkaniowe ogrzewanie centralne ma  
 i tę zaletę, że urządzenie go nie jest kosztowniejsze  
 od pieców kaflowych w lepszym wykonaniu i może  
 być przeprowadzone tam również, gdzie niema wodo-  
 ciałągów; jest ono bardzo wygodne, bo zajmuje mało  
 miejsca, dzięki czemu pokoje stają się większe. Daje  
 wreszcie ogromną oszczędność czasu służby, — to też  
 winno ono i u nas rozpowszechnić się tak, jak za-  
 granicą, i jak rozpowszechniły się urządzenia wodo-  
 ciągowe, gazowe i t. p.





### ZRAZIKI WIEPRZOWE

Na pięć osób, pokrajać w zgrabne, nieduże zraziki kawał nietłustej pieczeni wieprzowej (od szynki, lub łopatki), zbić je mocno, obsypać mąką i zrumienić z obu stron w niedużej ilości masła. W nelsonce, lub rondelku metalowym, mogącym być podanym do stołu, poddusić w łyżce masła dwie duże cebule, pokrajane w plastry; na to ułożyć zraziki, polać pół szklanką konserwy pomidorowej, postawić na bardzo wolnym ogniu i dusić pół godziny. Na patelnię, na której smażyły się zraziki, wsypać łyżkę mąki, zasmażyć, rozprowadzić pół szklanką rosółu, lub wody i pół szklanką śmietany; zagotować, wylać na zraziki, zagotować raz jeszcze i wydać z kartofelkami z wody, lub oddzielnie ugotowanym włoskim makaronem. Kto lubi bardziej ostrą przyprawę, może dodać na koniec noża pieprzu, lub papryki.

### SANDACZ „AU GRATIN“

Na pięć osób, oczyścić kilowego sandacza, posolić wewnątrz i zewnątrz i dać tak poleżeć godzinę. Półmisek metalowy posmarować grubo masłem, ułożyć pośrodku sandacza, posmarować go masłem, obsypać bardzo grubo tartą bułeczką, zmieszaną z ostrym serem, pieczarkami, lub grzybkami młode, cienko pokrajanymi, z cienko pokrajaną hiszpańską, lub cukrową cebulą, skropić to zlekką masłem, znowu dać rząd bułeczki z serem. Rozłożyć na tem kawałeczki masła, podać na półmisek parę łyżek rosółu lub wody i wstawić w niezbyt gorący piec na trzy kwadransy. Gdyby się po wierzchu zbyt mocno zrumieniło, a ryba jeszcze była surowa, przykryć półmisek zmocnym papierem. Oddzielnie podać do ryby kartofle z wody, lub odgotowany makaron. Można też podać sos pomidorowy, lub śmietanowy, nie jest to jednak niezbędne.

### KARTOFLE WYPIEKANE W FORMIE

Kilo obranych kartofli uszatkować jaknajcieniej na tarce do buraków. Dziesięć deka wędzonej słoninki i dużą cebulę usiekać drobno, zmieszać z kartoflami, posolić do smaku, wsypać pięć deka jakiegokolwiek utartego ostrego sera, wymieszać razem. Formę blaszaną lub kamienną wysmarować bardzo grubo szmalcem, ułożyć do niej kartofle, mocno uciskając. Wstawić w dobrze gorący piec na pół godziny. Próbować widelcem: gdy kartofle miękkie, wyjąć, wyrzucić babkę na talerz i podać gorącą. Wyborny

dodatek do sznycli, kotletów, steaków, lub wątróbki smażonej. Można też taką babkę podać, jako potrawę na kolację, lub śniadanie.

### WIENEŃSKI TORT „DOBOSZ“

Utrzeć do białości dwanaście żółtek z czterdziestoma deka cukru-pudru. Gdy przybędzie, zmieszać z czterdziestoma deka suchej mąki pszennej. Osiem do dziesięciu krążków papieru, rozmiaru dużego talerza, posmarować masłem, potem cienko jajeczną masą i upiec w niezbyt gorącym piecu do lekkiego zrumienienia; papiery zaraz poodejmować. Tymczasem utrzeć sześć żółtek z czterdziestoma deka cukru-pudru i czterdziestoma deka najlepszego, śmietankowego masła, do białości. Gdy masa urosnie i spulchnieje, dodać dwadzieścia deka czekolady, rozpuszczonej w pół szklance śmietanki i przestudzonej, oraz parę cali utłuczonej z cukrem wanilji, wyrobić dobrze masę i zastudzić na chłodzie. Krążki ciasta smarować tą masą, aż wszystka wyjdzie; górny krążek powinien być z ciasta. Lukruje się taki tort karmelem.

Trzydzieści deka cukru zagotować ze szklanką wody i łyżką octu; gotować, aż woda wyparuje, a karmel zacznie się lekko rumienić. Polać bardzo prędko tort, nie dotykając lukru ani łyżką, ani nożem, co wymaga nieco wprawy i dużo zręczności.

### PONCZ RZYMSKI

Podawany w płaskich kieliszkach od szampańskiego, lub szklaneczkach-szampankach, zamiast lodów na deser, lub jako wykwintny chłodnik na wieczorach tańczących, można zrobić ze zwykłych lodów cytrynowych, lub pomarańczowych. Do puszki, zawierającej dwa litry lodów, wlać butelkę reńskiego wina, pianę, ubitą z czterech białek, pół szklanki rumu, tyleż maraskina; wymieszać doskonale, pokręcić jeszcze kwadrans, poczem nakładać w kieliszki, lub szklaneczki i natychmiast podawać, gdyż topnieje znacznie łatwiej i prędzej, niż lody.

### KRUSZON

Na kruszon możemy używać win krajowych, owocowych, biorąc zawsze gatunki wytrawne, a nie słodkie. Na dziesięć butelek (sześć litrów wina) butelka koniaku, lub krajowego wiśniaku, ćwierć kilo cukru, szklanka likieru „marasquino“ lub „abricotine“, ćwierć ananasa lub cztery pomarańcze. Ananas lub pomarańcze pokrajać—pierwszy w drobne płatki, drugie—w plastry; przesytać cukrem, dać postać parę godzin, aż się cukier rozpuści; dodać konjak, likier i nakoniec wino. Lód wkładać już do dzbanków, aby kruszonu nie rozwodnić. To jest mocny, mało słodki kruszon dla panów. Dla pań i dla tańczącej młodzieży, jako trunek, zastępujący poniekąd lemonjadę—należy wtedy cukru wziąć pół kilo, i wraz zwinem wlać dwa litry zimnej wody.

Pani Elżbieta.

**Dr. med. J. ŚWITALSKA**

POWRÓCIŁA I ORDYNUJE W CHOROBY SKÓRNYCH I KOSMETYCE LECZNIOWEJ CODZIENNIE OD 5 DO 7. KRUCZA 31, m. 3.

## DOBRE RADY

Wybierając się z wizytami, trzeba koniecznie mieć bilety ze sobą: w razie bowiem niezastania kogoś w domu, złożenie biletu wizytowego liczy się za wizytę, która nie liczy się wcale, jeżeli biletu nie zostawimy.

\* \* \*

Pierwsza wizyta wymaga rewizytowania najdalej w przeciągu tygodnia. Następne wizyty można oddawać później, nigdy jednak nie czekając zbyt długo, jeżeli chcemy utrzymać stosunki. Wizyty ślubne składa się najwcześniej w miesiąc po ślubie; kondolencyjne — w dwa lub trzy tygodnie po pogrzebie.

## KORESPONDENCJE

Elżbiecie Ż. Wandzie W. z Sosnowca. Z powodu nieprzysłania adresu, odpowiedź nie może być umieszczona na łamach „Bluszczu”. Odpowiedź, co do tłustych włosów, oraz dolegliwości cery będzie umieszczona dopiero po otrzymaniu dokładnego adresu. Na listy anonimowe odpowiedzi nie wysyłamy.

Stałej prenumeratorki „Bluszczu” Jadwidze. Bez podania adresu nie odpowiadamy. Blizna pooperacyjna (keloid) może być usunięta zapomocą djatermji. Nigdy nie można być pewnym, czy nastąpi tylko poprawa, czy zupełne usunięcie. Röntgen daje również dobre rezultaty.

Emilci. Na tego rodzaju intymne zapytania na łamach „Bluszczu” odpowiedzi udzielić nie możemy. Po otrzymaniu dokładnego adresu, wyślemy list prywatny.

Lilijce. Ziółek się nie wysyła; proszę przeczytać ogólną odpowiedź na kurację odtłuszczającą.

Czytelniczce z Pińska. Z powodu niepodania adresu odpowiedź nie może być udzielona. Prosimy o ponowne napisane i podanie dokładnego adresu.

Stałej prenumeratorki „Bluszczu” C. T. — Zamość. Odpowiedzi udzielić nie możemy z powodu niepodania adresu. Pozatem pytanie niejasne: elektroliza czego? włosów? ile włosów, brodawki itd.

**UWAGA:** Kroje modeli, umieszczanych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna . . . . .	zł. 3,50
suknia zwyczajna . . . . .	„ 2,50
bluzka . . . . .	„ 2,00
formy dziecinne . . . . .	„ 2,00
bielizna . . . . .	„ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących: obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczone w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

### „O pielęgnowaniu rąk“

FACHOWE RADY I WSKAZÓWKI,  
JAK PIELEGNOWAĆ RĘCE.

**CENA 1 zł. 50 gr.**

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

### „Hodowla i tuczenie drobiu“

PRAKTYCZNE RADY RACJONALNEGO  
PROWADZENIA DOCHODOWEGO  
GOSPODARSTWA DROBIOWEGO

**CENA 1 zł. 50 gr.**

Z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju, oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

**Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.**

**Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.**

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu” — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.